

JAN BIELATOWICZ

GAUDE MATER POLONIA

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1964

✓

GAUDE MATER POLONIA

BIBLIOTEKA " KULTURY "
Tom CI

IMPRIME EN FRANCE

**Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.)**

JAN BIELATOWICZ

GAUDE MATER POLONIA

G A W Ę D A

Biblioteka Polska
Kolo Zurych

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1964



Autor w okresie studiów na U.J.

Rys. Halina Konopczyńska

Biblioteka Polska
Kolo Zurych SPK

G A W Ę D A *)

Z Tarnowa do Krakowa jechało się pociągiem strasznie długo: całe dwie godziny. Pośpiesznym tylko godzinę z minutami, ale któż by tam jeździł pośpiesznym? Trzecia klasa „osobista” kosztowała 2 złote 40, pośpiech aż cztery 20. Różnica nie w kij dmuchał! Co prawda, przyjemność pośpiesznym była większa, ale osobowy otwierał niewyczerpane widoki przygód. Musiał wszak przebrnąć przez tyle ślicznych miejscowości i miasteczek: stawał w nowozbudowanych Mościcach, w Biadolinach, Bogumiłowicach (skąd końmi do Wierzchosławic), w Słotwinie-Brzesku (skąd do Okocimia) i w kazimierzowskiej Bochni, siedł w puszczy niepołomską, mijał Grodkowice, wynurzał się z puszczy w Sterkowcu i stąd gnał przez bezkresną równinę ze stadami gęsi, przez Kłaj, wyspiańskie Węgrzce Wielkie i Podłęże (ku Wieliczce), by przystanąć okrutnie długo w zakopconym Płaszowie (czyli Podgórzu), po to zapewne, by dotrzeć na dworzec główny, jak rodzeni krakowiacy mówili, solidnie „spóźnięty”. A po drodze na dworcach trzymając się ciasno pod ręce defilują tam i sam brzany rosochate, do przedziałów z piskiem się tłoczą uczenniczki dojeżdżające do szkół w Tarnowie, Brzesku, Bochni i Krakowie, a to z kolan mał-

*) Gawęda ta powstała z pamięci. Już po jej napisaniu autor otrzymał kilka wydawnictw jubileuszowych U.J. z Krakowa i dzięki nim mógł dorzucić jeszcze garść historycznych faktów i obudzonych wspomnień. Te wydawnictwa to: „Materiały Informacyjne Komitetu Jubileuszowego 600-lecia” nry 1, 2, i 3 (prace K. Wyki, K. Lepszego i K. Estreichera); A. Bochnaka „Les insignes de l'Université Jagellonne”; L. Tochowicza „Zarys historii krakowskiej Szkoły Medycznej”; „Patrząc ku młodości” — wspomnienia wychowanków U.J. (red. i wstęp K. Wyki); L. Ehrlicha „Rektor Paweł Włodkowiec”; M. Chamcówna „Jan Sniadecki”.

żeńskich zrywa się spłoszona, ale rezolutna damulka zadając z miejsca pytania ledwie co do przedziału przybyłym pasażerom: — Pani do Krakowa? Pan do Krakowa? Wszyscy do Krakowa! Do Krakowa, do Krakowa, do Krakowa!

Zaś Żydzi, koszerni i postępowi, z drobiem w kojcach i betami, aby sobie zjednać ludzką życzliwość, milczą, a gdy trzeba, honorują towarzyszy podróży: pan żołnierz, pan posterunkowy, pan gospodarz, pan student. Pociąg roi się nie tyle od kolejarzy co od ich rodzin, opatrzonych w „regie”, czyli legitymację upoważniającą do zniżki ceny biletu o dwie trzecie, więc żywo podtrzymujących ruch pasażerski na Polskich Kolejach Państwowych. Robotnicy z młotkami, cążkami, szpilorama, kluczami francuskimi, bębнами drutów i karbidówkami. Dobędzie ten i ów — bywało — flaszę ocechowaną trupa główką z fioletową zawartością „spiryтусu skażonego” — i wychyli, a poda sąsiadowi starannie przedtem otarłszy szyjkę. I zaraz w stronę Żydów pejsatych: „To ci krakowiaki!”.

Jeździło się nieraz za szkolnych czasów do Krakowa, z wycieczkami na Wawel albo do teatru, to znów na zniżki świąteczne w pojedynkę, ale teraz z pękatym koszem nad głową to było już całkiem co innego. Pierwszy krok w nowe życie.

Konduktorzy długo wołali: „Kraków! Kraków!”, chociaż już od Płaszowa kto żyw cisnął się w korytarzach, by być blisko okien i na czas zawołać: „Pakier!”. No, ale studentowi za żadne skarby świata nie wypadało posługiwać się numerowymi. Koszyk na lewe ramię i skrzyp-skrzyp na Krowoderską. Bo i fiakra wołać nie przystało. Mógłby jeszcze odpowiedzieć: „Wal, smarku, piechty!”. Zresztą stan studencki zobowiązywał: akademik winien być biedny i nie rozbijać się powozami. Więc na Krowoderską z koszykiem dygował przez Basztową, plac Matejki, św. Filipa, Kleparz, Długą i plac Słowiański. Pół godzinki, spacerku, furda! Skrzyp-skrzyp, ugiął się obojczyk, ale co krok to bliżej celu.

Na parterze pod numerem 43 Krowoderskiej mieszkanko dziwnie ciemne pani Sokołowskiej. Na wizytówce przyszpilonej do drzwi zardzewiałymi pluskiewkami i nie okurзанej od wielu pokoleń akademickich nazwisko i tytuł: „wdowa po inżynierze górniku”. Ktoś fioletowym ołówkiem „w” zmienił na „g”. Tym sposobem zrobiła się „gdowa”.

Studia akademickie należało zacząć od dwu nieuniknionych czynności: wynajęcia stacji i kupna czapki odpowiedniego wydziału. Przedmiot można było wybrać później, wydział należało obmyśleć z góry, żeby móc zacząć od czapki. Zresztą co do przyjęcia na medycynę, farmację i rolnictwo klamki już pozapadały wcześniej. Więc kandydaci na lekarzy walili jak w dym na Grze-

górzki w czerwonych czapeczkach, pigularze na Olszewskiego w bordowych, rolnicy na aleje w szarozielonych z kłosem przypiętym do otoka. Klerycy poprzestawali na sutannach, ale że teologię w Krakowie studiowali alumni z trzech aż seminariów: krakowskiego, częstochowskiego i śląskiego, mieli tam między sobą jakieś kolorowe szarfy, guziczki i tasiemki. Prawo nosiło czapki czarne, filozofia granatowe. A wszystko pluszowe. Czasem się wplątał w krakowskie kolory jakiś cudak z białą-czerwoną rogatywką warszawską, i od razu budził niechęć. Bo tak: studenci warszawscy nosili na głowie sukienne krakuski, zaś krakowscy, na odmiannę, aksamitne maciejówki. Aby było inaczej niż w powzednim zwyczaju dzielnic.

Dopiero w czapce wypadało iść do zapisu, mając już zapewnioną stancję.



Rzeczpospolita Krakowska istniała wcale długo, bo 30 lat i było jej tak dobrze z tym tytułem i rolą stolicy dla siebie samej, że się to na zawsze odbiło na jej charakterze. To miasto nie przypomina żadnego innego na świecie. Stolica państwa, a raczej imperium federacyjnego przez osiem wieków, szkatułka z precjozami, od kopców i Smoczej Jamy aż po wiek XX, nawarstwionymi na sobie i obok siebie jak w Rzymie, najbardziej ceniła sobie jednak sławę stolicy polskiej nauki. Przed kazimierzowskim Studium Generale z roku 1364 istniała wyższa katedralna szkoła krakowska, po śmierci Jadwigi Akademia, potem Szkoła Główna Koronna. Traktatem wiedeńskim zawarowano Krakowowi tytuł i rolę stolicy naukowej dla wszystkich zaborów, i odtąd Uniwersytet Jagielloński, używając tego tytułu od roku 1817 miał udzielać wiedzy całemu krajowi. Nie zamykała zatem Akademia od sześciu wieków swoich dębowych bram i nie spuszczała żelaznych krat niemal nigdy, bez względu na to, jakie burze szły krajem i jaki najeźdźca przytracał go do swoich rydwanów. Zresztą Akademia krakowska pozostała przez całe swe dzieje wolną, polską. Nie złożyła nikomu hołdów, nawet Karolowi Gustawowi, gdy już opanował całe miasto. Nie zniemczyła się wcale, gdy jej próbowano narzucić po rewolucji krakowskiej germańskie pęta, 6 listopada 1939 wszyscy profesorowie uczelni, docenci, asystenci i pracownicy naukowci poszli za druty obozów śmierci, by świadcząc, że nie umieją być niewolni. „Ne cedat Academia!”.

Przed godnością, dostojnością i polskością Krakowa i jego wszechnicy cofali się najeźdźcy i traktowali miasto i uczelnię jako ostatni skrawek Polski. Ten statut wolności Krakowa opierał się

o dwa fundamenty: wzgórze wawelskie i kwartał ulic przecięty Jagiellońską, św. Anny i Gołębią. Żył Kraków Wawelem i uniwersytetem. Ponad to nie było nic tutaj większego. Wcale nie pogrzeby, ale wszystko, cokolwiek się działo na Wawelu, ożywiało Kraków: nabożeństwa, procesje, manifestacje, wystawy, przedstawienia, wizyty, nawet dzwon Zygmunta oznaczał wielkie święta w kalendarzu krakowskim. Grobowce czcił Kraków owszem, ale jako pomniki potęgi i chwały.

Tak samo uniwersytetem swoim żył cały Kraków: każde dziecko, przekupki na Rynku, robotnicy, piaskarze na Wiśle, ludwisarze i murarze zwierzynieccy, andry z Czarnej Wsi i Piasku, Żydzi na Stradomiu. Wszyscy znali nazwiska profesorów, wiedzieli o najważniejszych wydarzeniach akademickich. Rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego uchodził w Krakowie za najwyższy autorytet ziemski. Tylko z grymasu wielkopańskiego — jak mniemano — nie obejmuje władzy nad krajem. Kiedy w czasie jakichś niepokojów studenckich wojewoda usiłował telefonicznie przekazać rektorowi swoje zarządzenia, zdegustowany Rector Magnificus przerwał tę mowę: „Z tymi sprawami proszę do janitora!”.

Kraków liczył niezmierną ilość ludzi, którzy by życia w tym mieście nie zamienili na żadne inne, na żadną także godność. Nie było w Polsce wyższego honoru ponad katedrę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Doroczny zjazd Polskiej Akademii Umiejętności był obchodem równym świętu narodowemu i w rzeczy samej zwano go świętem nauki. Kraków stroił się na ten dzień we flągi biało-czerwone.

Otóż Rzeczpospolita krakowska była przede wszystkim uniwersytecka, w dwudziestoleciu niepodległości tak samo jak do wiosny ludów, kiedy to senat Wolnego Miasta Krakowa obradował w Collegium Nowodworskiego. Miasto żyło uniwersytetem, dla uniwersytetu i z uniwersytetu. Dla uczelni pracowały gromady woźnych, sprzątaczy, laborantów. Dla uczelni pracowały drukarnie, piarnie i introligatornie, ogrody, stacje doświadczalne, szpitale. Dla studentów wydawały posiłki niezliczone garkuchnie. Z utrzymywania stancji dla młodzieży akademickiej żyły zastępy obywateli krakowskich.



Stancje były rozmaite: na rynku i w uliczkach przyrynkowych, w przepaścistych kamienicach średniowiecznych najbardziej starożytne, pamiętające czasy Twardowskiego. Tymi mrocznymi komnatami rządziły przeważnie hrabiny i wysadzone z siodła ziemianki, przyjmujące tylko rezydentów z lepszej sfery lub zamoż-

nych. Izdebki mieszkalne, powstałe z przepierzeń, bieły wokół jednej dużej sali, przeznaczonej na naukę, gdyż tylko w niej świeciło się przez cały dzień światło elektryczne, a gdzie zwykle w oparach dymu dawali upust swym namiętnościami, nie jedząc nie pijąc, młodociani karciarze.

Panienki ze średnich domów, inteligentkich i mieszczańskich, kupiły się nieco dalej od rynku, na Straszewskiego, Dunajewskiego, na Podwału, Podzamczu, Wolskiej, Retoryka i ku Błoniom, w schludnych izdebkach, gdzie do godziny 9 wieczór wolno było przyjmować kolegów na herbatki i ciasto z paczek otrzymanych z domu, ewentualnie na wspólną naukę.

Młodzież męska rozporządzała znacznie rozleglejszymi możliwościami, a zwłaszcza przestrzenią. Za naszych czasów już wprowadzie wilki nie chodziły po ulicach Krakowa, ale wracać panience o zmierzchu na Dębniki, Zwierzyniec, Czarną Wieś lub Krowodrzę nie było całkiem przyjemnie. Tam więc gnieździł się ubożsi studenci. Czasem po sześciu i siedmiu w izbie, przy jednym szkieleku na lampie naftowej, ozdobionym napisem dydaktycznym w stylu: „Ucz się pilnie jak Mickiewicz w Wilnie” albo „Wyrażaj się przyzwoicie”.

Stancje służyły po to, aby je często zmieniać. Rzykanci potrafili przemieszczać nawet i dwa tygodnie nie zapłaciwszy czynszu, po czym, zwykle nocą, spuszczać się po rynnie z dobytkiem, aby znaleźć inne locum. Ale to były wyjątki. Zwykły student płacił mało i wymagał niedużo. Temperaturę na stancjach utrzymywało najpewniej zageszczenie pogłowia. Poza łóżkiem, korzystało się ze wspólnego stołu, lampy elektrycznej lub naftowej, wspólnej miednicy i dzbanka z zimną wodą, czasem piecyka żelazniaka. Imbryk i prymus albo maszynkę spirytusową trzeba było mieć własne. Nie zbywało tylko na stancjach pcheł, pluskiew i dwu odmian karaluchów: małych czerwonych, zwanych prusakami, i dużych czarnych, zwanych szwedami.

O domach akademickich będzie mowa dalej, tu tylko wypada zaznaczyć, że każdy z nich odznaczał się szczególnym zapachem: mieszkańcy sodalicyjnego rozsiewali woń starzynny, I Domu przy Jabłonowskich odór karbolu, a II Domu na Oleandrach zaprawy murarskiej. Katolicki Dom Akademicki miał specyfikę kapusty. Odpowiednie wonie konserwowały też małe stancje. Doświadczeni studenci w mig poznawali po zapachu, gdzie kolega ostatnio zamieszkuje: czy u pani Sokołowskiej na Krowoderskiej, czy u sióstr Hempel na Piotra Kochanowskiego (gdzie gospodynie grzały nogi przy świnkach morskich), czy na Czarnowiejskiej, gdzie od pobliskiej fabryki tytoniu mieszkańcy przesiąkali aromatem niktyny, a sublokatorzy panny Gołas dodatkowo wonieli pielusz-

kami (bo pannie przytrafiło się śliczne bobo płci męskiej), czy na Zduńskiej pod 14, gdzie gaz uchodził z nieszczęsnej rury, czy u pani Miszewskiej na alei Słowackiego, gdzie się chował niezmiernie towarzyski piesek Wiernuś, który skakał w górę na powitanie każdego gościa, ale rzucał się z zębami na każdego, kto by próbował mieszkanie opuścić.

Oczywiście, stacja z wiktem i opierunkiem dostępna była tylko pieszczołkom i maminsynkom. Matki wyprawiały synów na naukę z zapasem żywności, do którego sakramentalnie wchodził ogromny bochen razowego chleba, wian suchej kiełbasy, połeć wędzonki i garnuszek smalcu ze skwarkami. Roniąc łzy na pożegnanie pociech matki rzucały im na drogę ostatnie zlecenie: „Pisz często i przysyłaj brudy!”.

Za naszych czasów rodzice już się dowiedzieli co to „plusquamperfectum”, więc na ten sprawunek trudno ich było nabierać. Niemniej synkowie a i córeczki innymi sposobami wyłudzały od rodziców drobne kwoty. W latach trzydziestych upamiętniła się taka historia: opłat, jak wiadomo, za naukę w niepodległej Polsce nie było, ale było chesne. Głupstwo: najpierw, zdaje się, kilkadziesiąt, potem bodaj 120 złotych rocznie. Kto, biedak, nie miał, musiał jakoś zabiegać albo po prostu porzucić studia. Kwestor z czarną bródką, dr Czesław Matus, ojcowsko usposobiony wobec młodzieży, pisał zrazu upomnienie do rodziców. No i wystosował taki paszтет do rodziców jakiegoś drağala. Matka, zdziwiona wielce, zapytuje syna, dlaczego nie zapłacił chesnego, na które przecie wziął pieniądze. A on do matki: „Mamo, popatrz, w indeksie mam przecie pokwitowanie. Pomylił się stary Matus”. A kwestura po miesiącu z nowym upomnieniem. Tego już było dość drağalowi. Wpada do kwestury z gębą i tak prawi: „Coś pan narobił dobrego, panie Matus? Ja starą w bajer, bo mi forsa była pilnie potrzebna, no i musiałem pana w indeksie podpisać. A pan zaraz grandę! Coś pan narobił, panie Matus?”. Kwestor rzeczywiście oniemiał. I odtąd, kto miał jakieś trudności z chesnem, zaraz go pytano: „Coś pan narobił, panie Matus?”. A dodać trzeba, że był to prawdziwy Anioł Stróż dla biedoty studenckiej, zwłaszcza potrzebującej leczenia.



Zatem kandydat na studia, złożywszy koszyczek z dobytkiem i zmianą bielizny na stacji, walił na Grodzką po czapkę wydziałową i jak wicher pędził do Collegium Novum dokonać uroczystej imatrykulacji.

Okrażał najpierw wszechnicę, udawał, że on tu bywały, wchodził w progi Collegium i wychodził, jak lis zwodził. Podpatrywał innych, od czego by tu zacząć. Nareszcie, nie wybadawszy wiele, walił do janitora. Janitorami bywali dostojni, rośli, barczyści i nie pierwszej młodości panowie o aparycji wysokich dygnitarzy. Dwu na trzech nowicjuszy brało janitora za figurę prawie tej miary co rektor. Ów zaś cedził z wysoka:

— Kandydat w jakiej sprawie?

— Zapisać się.

— Na jaki wydział?

— Filozoficzny.

— Fiu, fiu! A na jaki to przedmiot?

— Na polonistykę.

— Hu, hu! A czy kandydat wie, kto jest profesor Nitsch?

— Nie.

— To się kandydat dowie. Nie było wypadku, żeby kto zdał egzamin za pierwszym razem.

— Ale ja jeszcze nie wpisany.

— Wolnego! A czy kandydat zna łacinę?

— Tak.

— No myślę. Bez łaciny trzeba do rzemiosła. Uniwersytet, panie kandydacie, to przede wszystkim łacina. Większość egzaminów po łacinie, indeks po łacinie, inauguracja po łacinie, przysięga doktorska po łacinie, część wykładów po łacinie. I mój urząd łaciński. Kandydat zrozumiał?

— Tak z grubsza.

— Niech więc teraz kandydat zdejmie czapkę z głowy i na paluszkach na pierwsze piętro zajdzie do dziekanatu wydziału filozoficznego i tam czeka cierpliwie na swoją kolejkę, aż pedel da znak.

Tłok pod dziekanatem panował nielada. W kolejce stali kandydaci, a dla towarzystwa i ci, co już wpis mieli za sobą. Gawędy toczyły się u drzwi dziekańskich godzinami. Tłum składał się z zacukanych, przeważnie z prowincji przybyłych, kandydatów i z chojraków, głównie z miasta Krakowa, oblatanych, wszystkowiedzących i siejących postrach.

— Kolego, dajcie sobie spokój z polonistyką! Łacinę i grekę trzeba śpiewać jak kanarek, na pierwszym roku starocerkiewny, na drugim niemiecki, potem kupa gramatyki, historia literatury polskiej i europejskiej, filozofia i ten tego. Zresztą najgorsze pierwsze siedem lat. Potem idzie jak z płatka.

— A jaki słowiański bierzecie za poboczny? Trzy wschodnie, pięć zachodnich, czy cztery południowe? Bo niby jak już

bułgarski, to za jednym zamachem najlepiej i serbochorwacki, słoweński, no i macedoński.

— W katalogu Jagiellonki kolega, naturalnie, się wyznaje, bo bez tego szkoda nawet zaczynać. A w bibliografii Estreichera? A w palatogramach? A w tablicach Albińskiego, a w atlasie Bochenka?

— Dziekan was może po prostu nie przyjąć — drwili już w żywe oczy. — Tak na optykę: nie spodobacie się.

— Ale, ale, czyście dali janitorowi co w łapę? Mógłby się wstawić.

Brała pokusa, by uciec, gdzie pieprz rośnie, wycofać się, póki czas.

Imponowali, onieśmielali, tumanili, straszili. Nogi drżały kandydatom. Minął czas średniowiecznych „otrząsin”, kiedy otrocka czy beanusa z prowincji poddawano wymyślnym próbom wody, języka i kułaków, ale zwyczaj ten znalazł sobie przytułek u drzwi dziekańskich w dniu imatrykulacji. „Otrząsiny” pokazywano już tylko na dziedzińcu Collegium Maius. Z widowiska tego przez długie lata czerpał środki do życia Adam Polewka, a aktorami byli ci sami niemal żelaźni studenci, obdarzeni przez naturę zaiste stwoszowską urodą: Mączka o powierzchowności żołdaka rzymskiego powalonego Zmartwychwstaniem Pańskim lub Niedbałowski, istny gnom z Breughelowego „Schlaraffenlandu”. Pierwszy grał rolę prześladowcy, drugi kołtuna-beanusa.

Tymczasem ogonek do dziekanatu posuwał się sprawnie. Już pedel brał do rąk papiery i instruował co trzeba. Za biurkiem siedział przysłonięty stosem indeksów dziekan wydziału filozoficznego, profesor Władysław Szafer, imponującej postury i jowiszowej prezencji. Krzaczaste brwi słowiańskie zdradzały lekkie zniecierpliwienie przedłużającym się seansem biurokratycznym. Brał do rąk papierki i błyskawicznie znaczył na nich jakieś tam literki.

Kandydat z przejęciem oczekiwał chwili uroczystego ślubowania akademickiego.

— Ślubuje pan? — zapytywał nagle dziekan.

— Ślubuję.

Dziekan unosił nad stołkiem jedną połowę potężnego korpusu i miękko podawał dwa palce.

I po paradzie. Indeks szedł do podpisu rektorskiego, a do rąk otrzymywał go student dopiero po wpłaceniu pierwszej raty czesnego, od kwestora.

Książeczka ta towarzyszyć miała studentowi przez całe studia. Wpisywało się do niej przepisane wymaganiami wydziału i przedmiotu quorum i quantum wykładów — na filozofii 20 go-

dzin tygodniowo, wraz z seminariami — przy czym każdy profesor czy wykładowca obok tytułu wykładu stawiał swój „nomen” lub „test” o odbytym przez studenta seminarium. Wpisywało się też do indeksu niektóre zdane colloquia, wpłaty czesnego i inne szczegóły. Indeks miał ogromną cenę jako dokument i otwierał nawet drogę do kredytu i dobroczynności obywateli. Pierwszą stronę książeczki zdobiły podpisy rektora i dziekana wydziału z roku, w którym indeks wystawiono, a nad nimi piękną antykwą wypisana formuła:

NOS
RECTOR ET DECANUS
UNIVERSITATIS JAGELLONICAE

hac tabula profitemur testatumque esse volumus
Dominum
oriundum
in album Civium Universitatis
rite relatum esse.

Zbieranie nominów nastęczało niejake trudności. Wypadało bowiem chociaż raz w ciągu trymestru (nomen miał ważność na trymestr) wybrać się na wykład osobiście, zwłaszcza że niektórzy profesorowie miewali zwyczaj zagadywania studentów, a niektórzy nawet, zresztą bardzo nieliczni, mieli tak dobrą pamięć i ambicję, że jednorazowa obecność słuchacza im nie wystarczała, więc — bywało — odkładali indeks nie podpisany. Tylko bardzo zuchwali studenci, szanujący przesadnie swój czas, umieli zdobyć nomen ani razu w ciągu roku nie zjawiwszy się na sali wykładowej. Niektóre też podpisy wręcz prosiły się o podrobienie. Profesor Nitsch na ten przykład zamiast podpisu stawiał coś w rodzaju trójkąta bez jednego boku, zaś Chrzanowski obok litery C rysował kilka zakrętasów.



Tak więc kandydat po ślubowaniu wobec dziekana stał się pełnoprawnym studentem. Miał za sobą stancję, czapkę wydziałową i imatrykulację. Nie oznaczało to bynajmniej kresu strachów i niepewności. Nowe życie wymagało całkiem nowych umiejętności.

Po pierwsze nikt studenta do nauki nie pędził, żadne rygory nie obowiązywały, każdy egzamin czy colloquium można było powtórzyć po raz drugi i trzeci. Wolność akademicka w toku stu-

diów była pełna. Jak we wszystkim, tak i w tym istniała, owszem, pewna granica, lecz dyktował ją tylko własny rozsądek. Toteż uniwersytet był głęboką wodą dla uczących się pływać. Kto szedł na dno, działo się to zwykle z własnej jego winy. Tylko na wydziałach o ściśle ograniczonej ilości miejsc i kosztownych dla państwa, więc na medycynie, farmacji, rolnictwie, ogrodnictwie itd., obowiązywały terminy i pomyślne wyniki egzaminów.

Spotykało się wśród słuchaczy „żelaznych studentów”, ale prawdę rzekłszy nikt dłużej nie popasał na uniwersytecie jak sześć, najwyżej siedem lat, i to zwykle z powodu przerwania się z wydziału na wydział. Starsze rorogi to były zazwyczaj cudzoziemskie ptaki, zaokrąglający swoje specjalności. Kiedy jakiś 25-letni student Podhalanin w rubryce podania o stypendium brzmiącej: „inne dane mogące służyć do poparcia” wpisał: „sierota bez ojca i matki”, chodziła o tym żartobliwa dykteryjka po wydziałach, że niby staruszek żarty sobie z władz stroi. A już najwięcej śmiechu wywoływał „tata Święch”, wiekowy polonista nauczyciel, który pragnął zdać magisterium. Ogłoszono oto, że zniżki kolejowe na wakacje i święta otrzymywać będą tylko studenci do lat 30. Tata przekroczył trzydziestkę i trząsł się z oburzenia na niesprawiedliwość. Zwołał nawet pismem, przyszpilonym do tablicy ogłoszeń, zebranie trzydziestolatków w tej sprawie. Na zebranie przybyła spora gromada ciekawskich, jak też wyglądają 30-letnie mamuty. Ale jako jedyny zainteresowany sprawą stawiał się na wiecu tylko tata Święch.

Illo tempore, 30 lat to już była starość. Kto normalnie kończył studia, miał lat 22 lub 23, lekarze 24. Czwierć wieku uchodziło za ostateczny kres młodości.



Jesienią, w pierwszej dekadzie października, wychodził z Collegium Novum pochód rektora, dziekanów i profesorów, ozdobionych w togi, birety, gronostaje i insygnia władzy, łańcuchy i pierścienie, w otoczeniu pedli niosących nad głowami dostojników berła rektorskie i dziekańskie, ku kościołowi akademickiemu św. Anny, do grobu św. Jana Kantego. Uniwersytet Jagielloński posiada nadal po dziś dzień trzy berła sięgające pierwszego i drugiego stulecia jego istnienia, a więc najstarsze na świecie. Są to laski ze srebra, częściowo połączone, ponad metrowej długości, ozdobione dolną gałką, trzonem i szczytowym zwieńczeniem w kształcie korony. Berło rektorskie pochodzi z roku 1400 i jest darem królowej Jadwigi. Przedstawia ono zagadkę dla heraldyków i historyków, gdyż jego pole szczytowe zdobi herb Wielko-

polski, a ponadto na tronie figuruje dziewięć tarcz w trzech grupach: herb Małopolski i zarazem Państwa, Pogoń, herb Andegawenów oraz kilku dygnitarzy i dobrodziejów odnowionej akademii. Uczni przypuszczają, iż berło to jest tylko jednym z czterech, jakie otrzymały od królowej wszystkie wydziały, i na których zapewne wyryto na szczytowych polach herby trzech innych dzielnic królestwa, zaś na trzonach herby innych dobrodziejów wymienionych w dokumencie odnowienia uczelni.

Trzy inne berła uniwersyteckie pochodzą z darów kardynała Zbigniewa Oleśnickiego, zarazem kanclerza uniwersytetu, kardynała Fryderyka Jagiellończyka oraz kardynała Bernarda Maciejowskiego. Nie to ważne, że są to wszystko arcydzieła złotnictwa krakowskiego, lecz ważne pierwotne tych berel przeznaczenie. Oto kiedyś noszono je przed kardynałami jako oznakę ich wysokiej godności. Rektorskim stało się pierwsze berło kardynalskie, a po nim dwa inne, dopiero z woli Oleśnickiego, wyrażonej w testamencie. Tradycja noszenia przed kardynałami „mazza d'argento”, lasek czy też berel srebrnych, sięga wieku XV i zachowała się w zwyczaju po wiek XIX. Tak więc Uniwersytet Jagielloński w głównych swych insygniach zachował pamięć o pierwotnym związku uczelni z Kościołem.

Wszystkie berła wydziałowe (dziekańskie) są pochodzenia późniejszego, w stylu już zwulgaryzowane, gdyż zamiast zwieńczeń szczytowych posiadają po prostu figurynki zasłużonych profesorów. Warto chyba tylko wzmiankować, że berło dziekańskie wydziału filozoficznego pochodzi z daru miasta Wilna z roku 1900.

Po powrocie pochodu rektorskiego z kościoła św. Anny do Collegium Novum, w auli zaczynała się uroczysta inauguracja roku akademickiego. Wczoraj, jak i dzisiaj, wysoko sklepioną salę o drewnianym stropie, rzeźbionym w malowane kwiaty, upiększają obrazy Matejki związane z dziejami wszechnicy i trzy jego ręki portrety rektorów: Szujskiego, Dietla i Tarnowskiego. Lecz dumą tej galerii jest Kopernik w zachwyceniu wiekopomnego odkrycia.

Inauguracja zaczynała się wykładem naukowym, po czym szła mowa sprawozdawcza ustępującego rektora, zwanego prorektorem, wreszcie przekazanie przezeń władzy nowemu rektorowi.

— *Accipe sceptrum regiminis* — mówił prorektor wręczając następcy berło królowej Jadwigi.

— *Accipe catenam dignitatis* — wkładał łańcuch Anny Jagiellonki z orłem w koronie na barki rektorskie.

— *Accipe annulum sponsialem* — mówił zdejmując z palca złoty sygnet ze złożonymi na krzyż berłami rektorskimi, a więc pieczęć uniwersytetu.

Teraz mowę wygłaszał nowy rektor, kończąc ją słowami: „Quod felix faustum fortunatumque sit”. Na koniec unosząc głowę mocnym głosem wołał: „W imię Boga Wszchemogącego otwieram rok akademicki od założenia uniwersytetu 567”. Ten rok w historii Uniwersytetu Jagiellońskiego pokrywał się z rokiem kalendarza 1931. Prawie więc jedna trzecia czasu od przyścia na świat Chrystusa.

Po wezwaniu Imienia Bożego przez rektora zrywała się pieśń chóru:

*Gaude Mater Polonia
Prole foecunda nobili
Summi Regis Summi Regis magnalia
Laude frequenta vigili.
Amen.*

Tymi samymi słowy otwierano, wedle podania, pierwszy rok akademicki Studium Generale, 37 Akademii i 567 Uniwersytetu Jagiellońskiego.



Czas do życia powszedniego. W auli bywał przeciętny student rzadko, czasem nawet nie zjrzał do niej przez całe studia, chyba że kogoś ze znajomych promowano na doktora, która to uroczystość łączona była także z odpowiednią inwestyturą. Sala służyła wielkim uroczystościom, zjazdom, odczytom sław krajowych i zagranicznych, promocjom doktorskim. Gdy uniwersytet pragnął kogoś szczególnie uhonorować, otwierał mu aulę. Tak np. b. prezydent państwa Stanisław Wojciechowski mówił o swojej spółdzielczości w auli. Pilnie jednakże senat przestrzegał, aby dostojeństwa auli nie rozstrajała ani polityka ani nawet żadna inna Muza prócz wiedzy.

Uniwersytet, choć stare collegia stały obok siebie w kwartale okolonym Plantami i zamkniętym ulicą św. Anny, a przeciętnym krzyżem ulic Jagiellońskiej i Gołębiej, rozrzucony był po całym mieście.

Filozofia jeszcze, jak tam filozofia: wszystko miała pod ręką. Z Collegium Novum można było przeskoczyć na Gołębią czy do Collegium Physicum albo na Wolską czy Straszewskiego, gdzie się mieściły różne psychologię, socjologię i pedagogiki. Podobnie prawo i teologia. Ale rolnicy, a zwłaszcza medycy, musieli gnać z Collegium Chemicum do siebie przez cały Kraków, żeby zdążyć na następną godzinę wykładów.

A trzeba wiedzieć, że profesorzy niczego bardziej nie znosili jak spóźniania się słuchaczy. Profesor Heinrich, psycholog, gdy się kto spóźniony wśliznął do wielkiego teatru fizycznego, gdzie wykładał, milknął i tak długo trwał w upartym milczeniu, aż student nalykawszy się wstydu chyłkiem opuszczał miejsce. Profesor Chrzanowski witał spóźnialskich sarkastycznie: „Przepraszamy, żeśmy zaczęli”. Profesor Nitsch mawiał w takich razach: „Albo pan zostanie albo ja”. Raz panna Ogrodzińska rzekła: „Ja zostanę”. Wtedy profesor palnął bez namysłu: „Idiotka!” — i ciągnął wykład. Ale trzeba było znać pannę Ogrodzińską: poszła na skargę do rektora. Wobec tego nazajutrz prof. Nitsch oświadczył: „Jedną pani poszła na mnie ze skargą do rektora. Doprawdy trzeba być idiotą, żeby się za słuszne nazwanie obrazić”. Spór wyglądał na nierozstrzygnięty, ale panna Ogrodzińska dopięła swego, bo się z wykładu wyprosić nie dała.

Collegium Novum, jak mówi nazwa, neogotyckie, z końca XIX wieku, o strzelistych dachach i wieżyczkowej attyce, z herbami uniwersytetu na frontonie, choć nowe jako dzieło architektury, wewnątrz jest dostatecznie jak na starożytną tradycję uczelni mroczne i niewygodne, aczkolwiek rozłożyste schody i granitowe kolumny potężne wywierają wrażenie. Front zajmują kondygnacjami westybul i aula. Trzema pozostałymi bokami biegną zróżnicowane znacznie co do wielkości lectoria numerowane i nazwane po łacinie imionami sławnych profesorów i wychowanków uczelni. Największe lectorium, urządzone amfiteatralnie, to sala 62: Mikołaja Kopernika. Pod nią, na I piętrze, znacznie już mniejsze lectorium Johannis Długosz. Inne lectoria oznaczono imionami: Pawła Włodkowica, Andrzeja Frycza Modrzewskiego, Jana Ostroroga, Jana i Piotra Kochanowskich, Sebastiana Petrycego, Mikołaja Reja, Piotra Royzjusza, Józefa Strusia, Marcina Kromera, Jakuba Górskiego, Józefa Szujskiego itd. W stuleciach XV i XVI wszyscy niemal nasi uczeni, pisarze i statyści ukończyli lub co najmniej zawadzili o krakowską akademię.

Sala Kopernika służyła, oczywiście, na najtłumniejsze wykłady, tudzież manifestacje, wiece i zebrania studenckie. Tutaj odbywały się wykłady prof. Chrzanowskiego, najlepszego oratora uczelni w latach akademickich 567-573. Prócz tłumów studentów przybywali na nie licznie starsi wielbiciele, a zwłaszcza wielbicielki profesora w staromodnych kapeluszach. Również niektóre wykłady prawa, szczególnie rzymskiego, Rafała Taubenschlaga, i historii ustroju Polski, Stanisława Kutrzeby, mogły skupić słuchaczy tylko w lectorium Kopernika. W latach trzydziestych ogromna masa studentów rzuciła się na prawo, a wysłuchanie wykładów było tam nie tylko obowiązkowe, ale i konieczne, bo przy

braku skryptów większość profesorów żądała dużej precyzji odpowiedzi. Nic dziwnego: prawo nie literatura piękna. Rozumie się, że osobista wykładnia prawa rzymskiego czy staropolskiego przez studentów nie przyniosłaby nic dobrego. Zatem przezorniejsi słuchacze zajmowali miejsca w sali Kopernika już wieczorem w przeddzień wykładu, aby spędziwszy noc w ławach, móc rano wysłuchać wykładów Taubenschlaga. Owe nocne koedukacyjne okupacje po kilku tygodniach zaniepokoiły senat, toteż pedle zaczęli zamykać lectorium na klucz po ostatnim wieczornym wykładzie.

Tedy więc, lectorium Kopernika było od wielkiego dzwonu. W mniejszych salach i salkach tuliły się mniej liczne lub zgoła elitarne grona amatorów wykładów o mniejszym rozgłosie. Wbrew akademickiej regule „tres faciunt collegium”, zdarzało się, że profesor czy lektor mówił nawet do pojedynczego słuchacza.

Ekonomia nakazywała wykorzystać każdy kąt Collegium. To też korytarze poprzedzielano przepierzeniami, za nimi zaś uruchomiono zbiory naukowe, szafy biblioteczne, nawet niektóre zakłady, dla seminariów, kół naukowych etc.

Na parterze, prócz janitora, miał swoją izbę „bedellus”, spolszczony w codziennym języku na pedla. Główny pedel był jeden, ale w sumie pedli liczyła uczelnia mnóstwo. Do najpopularniejszych w Collegium Novum liczył się maleńki jak mysikrólik Wielgus i chytry, czarny, ze strzelającymi oczkami Cygan. Polonistyka, na Gołębiej, miała niezrównanego Rychlika, rodem z Bronowic, który odgadywał wyniki egzaminów, dostarczał cennych informacji o humorach profesorów i nie ukrywał swoich sądków o ludziach. „Panie — mówił — to językoznawstwo schodzi całkiem na psy, skoro taki Stanko Bunc mógł zdać doktorat”. „A rudzi — twierdził — to wszystko ludzie fałszywi”. „No dobrze — ktoś wysunął zastrzeżenie — to dlaczego pan się przyjaźni z prezesem Koła Polonistów?”. (Był nim wtedy piszący te słowa). Pan Rychlik się zadumał i rzekł: „Bywają wyjątki, ale lepiej się mieć na ostrożności”.

Wróćmy do Collegium Novum. Po lewej stronie od wejścia za szybą janitor. Obok ogromna czarna tablica z nazwiskami studentów, którzy mają do odebrania pocztę adresowaną na uniwersytet. Co rana i południa wypisywał starannie kredą te nazwiska sam janitor. Tablica pokryta setkami nazwisk służyła doskonale celom informacyjnym: pilne jej studiowanie pozwalało odkryć znajomych. Niebagatelne także były wiadomości o paczkach dla koleżanek.

W lewym skrzydle gmachu mieściły się tablice organizacji studenckich. Działało ich na uczelni chyba parę setek. Tamże pod

tablicami kół i zrzeczeń, na parapetach okien — prywatna poczta i ogłoszenia, a także kąpiel randek, spotkań i gruchań. Ogłoszenia prywatne służyły przeważnie celom rozrywkowym: ów szukał „prawniczek do wspólnej nauki”, tamten „kolegi na kajak”, itp.

W prawym skrzydle, później na tyle westybulu — archeologia klasyczna i prehistoria. Na korytarz wyległy tu bezpieczne okazy: zwaliste posągi, baby kamienne, urny wysokości ludzkiej, sarkofagi.

Na półpiętrze rozległy taras — trybuna dla wieców. Na pierwszym piętrze siedziby urzędów: Rector Magnificus ze swoim sekretariatem (dr Ottman i dr Jan Reguła), Senatus, Quaestor, Decanatus Philosophiae, Decanatus Iuris i najbardziej nobliwe lectoria. Na drugim piętrze, oprócz sali Kopernika i pomniejszych lectoriów, korytarz historyków z masą szaf bibliotecznych.

Najstarsze collegia uniwersyteckie nie służyły już za naszych czasów na wykłady.

Sercem Akademii od XV stulecia pozostawało Collegium Maius, nabyte i wyposażone za klejnoty królowej Jadwigi. Kazimierzowskie Studium Generale mieściło się na Wawelu, potem w pobliżu placu Wolnica. Pierwszy wykład w Collegium Maius odbył się dnia 22 lipca 1400. Była to wówczas stara już kamieniczka na rogu ulic Jagiellońskiej i ówczesnej Żydowskiej (dziś św. Anny). Za fundusze Jana Długosza przyłączono do niej jeszcze dwie inne i rozbudowano jako architektoniczną całość. Spaliły się te staroświeckie gmachy w roku odkrycia Ameryki przez Kolumba. Nawiasem wtrącając, przechowała się dotąd pamiątka tego wydarzenia w zbiorach uniwersyteckich, mianowicie globus zwany jagiellońskim z dorysowaną na nim nową częścią świata, określoną jako „America terra noviter reperta”. Pożar Collegium spadł zaiste z samego nieba. Gdy przystąpiono do gruntownej przebudowy starych kamienic, na wzór uniwersytetów włoskich, w murach znaleziono skarb w dukatach, pieścieniach, kamieniach, łańcuchach, perłach, szacowany wówczas na sumę 100 tysięcy złotych. Dzięki temu skarbowi niewiadomego pochodzenia można było zbudować prawdziwą perłę architektury, aczkolwiek stary zarys murów uszanowano, tak że dzisiejsze Collegium Maius, mimo znacznie poważniejszych przeróbek w XIX stuleciu, pozostało w rysunku takie samo jak za życia królowej Jadwigi, która to miejsce upatrzyła na siedzibę akademii.

Wtedy to stanął okazały dziedziniec, otoczony arkadami, powstała duża aula na pierwszym piętrze, wspólna izba profesorska („stuba communis”), rezydencja prywatna profesorów i kilka sal wykładowych. W kilkadziesiąt lat później dobudowano jeszcze i czwarte skrzydło z dużą salą Obiedzińskiego na bibliotekę, gdzie

rzadkie cimelia pergaminowe i druki przymocowano do pulpityw łańcuchami. Od lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia aż do drugiej wojny światowej starodawny gmach Collegium Maius, połączony z dawnym Collegium Nowodworskiego, służył na pomieszczenie Biblioteki Jagiellońskiej, zanim tuż przed wojną nie zbudowano przy alei Mickiewicza nowoczesnego budynku na magazyny i lectoria biblioteki.

Główna fasada Collegium Maius rozciąga się wzdłuż ulicy Jagiellońskiej. Surowe, proste, prawie klasztorne mury wieńczą trzy gotyckie szczyty z przełomu wieków XV i XVI. Osobliwie pięknym w tej fasadzie jest wykusz izby wspólnej, nakryty barokowym daszkiem.

Przez bramę od ulicy św. Anny prowadzi główne wejście do wnętrza budynku. Z obszernej sieni, wspartej na kolumnach, a sklepionej gotycko, wiedzie wejście do małej kapliczki św. Jana Kantego, na prawo jego mieszkanie. Już od końca XV wieku magister teologii, a profesor wszechnicy krakowskiej Jan Wacłęga z Kęt był czczony przez lud jako święty za życie ascetyczne, miłość bliźnich i cnotę miłosierdzia. Uniwersytet obrał sobie swojego profesora za patrona i mieszkanie po nim zachował jako kaplicę, umieszczając tam figurę świętego modlącego się na klęczkach. Szczątki jego przeniesiono do kościoła św. Anny, zbudowanego jako akademicki z końcem XVII stulecia i ozdobionego stiukami Baltazara Fontany. Akademia usilnie zabiegała o kanonizację swojego profesora, do czego ostatecznie doszło w r. 1775.

To od niego, od św. Jana Kantego, bierze rodowód tradycja Uniwersytetu Jagiellońskiego przyjmowania w swoje mury i ugaśszczania ubogich. Gdy zmarł Jan Wacłęga, na jego miejscu zawsze sadzano ubogiego przy wspólnym stole profesorskim witając go słowy: „Pauper venit, Christus venit”. Akademia i uniwersytet krakowski dały wiedzę i wybitne stanowiska w państwie wielu uczynom pochodzenia chłopskiego i mieszczańskiego. Ów charakter uniwersytetu tak się rzucał w oczy, że w memoriale z połowy wieku XVI o konieczności przebudowy studiów znajdujemy słowa: „Wszyscy tu są plebejusze i swoich tylko plebejuszów kochają, ściągają do siebie i do swego collegium. Szlachty w nim jest niewiele, którą niechętnie między sobą znoszą, której nienawidzą gorzej od psów”. Jasne, że opinia to przesadna, ale rozumiemy też dlaczego początek każdego roku akademickiego U.J. zaczynał się od grobu św. Jana.

Poprzez sień wchodzi się na słynny wirydarz, czyli podwórzec arkadowy Collegium Maius. Obiegają go ciosowe kolumny, ponad nimi ganki, na środku stoi pomniczek Kopernika dłuta Cy-

priana Godebskiego i studnia, którą się zachwycił Sebastian Petrycy z Pilzna, profesor akademii, w wierszu:

*Sliczna Akademiei w budownym Krakowie,
Studnio, kto kiedy chwały twe wypowie.
Tyś naprzód od Jagiełła króla założona,
W domu mądrości środkiem położona.*

*Woda twa przeźroczysta jak naczynie szklane,
Godna, by słodkie z nią było mieszane
Wino: już byś kwiatkami dawno obrodziła,
Gdzie by tam gęsta stopa nie tłoczyła.*

*Tyś jest między studniami sławniejsza wszystkim,
Którękolwiek są w tej tu polskiej ziemi...*

Dziś, po przeniesieniu zbiorów Biblioteki Jagiellońskiej na aleję Mickiewicza, w Collegium Maius pozostała tylko najstarsza część jej zbiorów, owe inkunabuły i kodeksy pergaminowe, przytocowane łańcuchami do pulpitów, poza tym muzeum uniwersyteckie, istniejące tu od średniowiecza jako tzw. „camera raritatis”, a obejmujące stare monety, szkielet ludzki, jaja strusie, bęben i chorągwie zdobyte przez akademików na wojskach austriackich w r. 1588. Obok tego w dawnej sali, zwanej Alchemia, zebrane są pamiątki po Koperniku i jego nauczycielach Marcinie Bylicy i Wojciechu z Brudzewa i przyrządy, jakimi się posługiwali, więc stare instrumenty fizyczne, chemiczne i astronomiczne, globusy, astrolabium arabskie z r. 1054, portret Kopernika z połowy XVI wieku. Jest tu także biblia pergaminowa Twardowskiego, zwęglona przyłożoną do niej dłonią czartowską. Na portalu auli, zwanej też salą jagiellońską, dewiza uniwersytetu: „Plus ratio quam vis”. Przechowuje się tu dzisiaj wszystkie insygnia uniwersyteckie i pieczęć wielką królewską, która była przyłożona do aktu fundacyjnego Studium Generale 12 maja 1364, wyobrażająca Kazimierza Wielkiego na majestacie i herby ziemi kujawskiej. Akt sam zakopany do ziemi przed Niemcami we wrześniu 1939 zniszczał, ostała się tylko woskowa pieczęć.

Collegium Nowodworskiego przy ulicy św. Anny 12, dawna biblioteka, zwana popularnie „Jagiellonką”, nie była pierwotnie uniwersyteckim collegium, lecz pomieszczeniem dla szkoły średniej pod opieką uniwersytetu, istniejącej od r. 1588, zwanej „classes”. Budynek wzniesiono w pół wieku po założeniu szkoły, sumptem dwu ofiarodawców: Gabriela Władysławskiego i Bartłomieja Nowodworskiego. Na otwarciu szkoły przybył jej wychowanek król Jan Sobieski.

Dziedziniec arkadowy pomyślany był jako theatrum szkolne

i charakter ten zachował dotąd. W latach trzydziestych (pięćset siedemdziesiątych uniwersytetu) wystawiono tu sztukę L.H. Morstina „Kłos Panny”. Leopold Kielanowski na krążanku Jagiellonki wcielił się wielką sztuką aktorską w Kopernika z obrazu Matejki. Dodać należy, że Mikołaj Toruńczyk był nie tylko przez cztery lata studentem na Akademii krakowskiej, ale w czasie pisania dzieła „De revolutionibus” podtrzymywał szczególnie żywą łączność z „matką i żywicielką” przez wymianę listów.

Duże lectoria Collegium Nowodworskiego, dialektyki i retoryki na piętrze, poetyki i retoryki na parterze, zajmowały w naszych czasach czytelnie i zbiory Biblioteki. Zaraz na prawo od wejścia wypożyczalnie, krążankiem na prawo — czytelnia rękopisów, na wprost przez dziedziniec — czytelnia starych periodyków, na piętrze czytelnia nowych czasopism, sala katalogowa i lectorium główne. Przechadzki po krążankach były ulubioną formą oderwania się od książek i manuskryptów, gdyż w Jagiellonce zazwyczaj spędzało się cały dzień, a zwolnić miejsce w czytelnii było niebezpiecznie.

Dyrektor Biblioteki był Edward Kuntze.

Jagiellonka zatrudniała spore grono uczonych i bibliotekarzy; do pamiętnych postaci należał maleńki dr Adam Bar z arcywysoką małżonką dr Ireną Turowską Barową, dr Gielecki, ochoczy adorator płci pięknej, odziany wszakże regularnie w kałasze, i przykładowie żegnający się przed każdą dosłownie czynnością osobistą, zwalista jak gdańska szafa Helena d'Abancourt, o której lektor Bernard mówił, że z Napoleonem przybyła do Polski, dr Wanda Żurowska. Ale najważniejszy, bo i najbardziej znany, był pan Aleksander, chłop wielgachny o kartoflanym nosie, pracownik głównego lectorium, który miał w ręku każdą książkę i wiedział gdzie jej szukać. Kiedy nowicjusz przychodził do lectorium, Aleksander tylko się uśmiechał pod wąsem. Wreszcie znudzony jałowymi manipulacjami, zadawał pytanie: „Czego dusza potrzebuje?”. A jeśli, nieświadom, parwienusz usiłował go zbyć, Aleksander pytał: „Co pan(i) myśli, że ja wróbel?”.

Ze starodawnych collegiów uniwersyteckich nie pozostało już wiele więcej. Ze sławnej Bursy Jerozolimskiej (fundacji kardynała Zbigniewa Oleśnickiego), wznoszącej się kiedyś na miejscu dzisiejszego Collegium Novum, oraz z Bursy Jana Długosza przy ulicy Grodzkiej przechowały się tylko tablice erekcyjne, umieszczone na dziedzińcu Collegium Maius. W całości przetrwały do dziś jeszcze dwa inne wiekowe collegia: Juridicum przy Grodzkiej i Minus przy Gołębiej. Pierwsze, budowla renesansowa, ongiś własność Sędziwoja z Szubina, posła w sprawie małżeństwa Jadwigi z Jagiełłą, przekształcono na collegium testamentem Jad-

wigi. W naszych czasach nie prawnicy pobierali tu naukę, lecz antropologowie. Collegium Minus, ufundowane i urządzone w XV wieku, na wzór Maius, bo też i wyłonione organizacyjnie ze swej macierzy, w późniejszych wiekach tak obmurowano i przerobiono że nie wiadomo, jaki był jego pierwotny, późnośredniowieczny wystrój i wygląd. Na portalu od ulicy Jagiellońskiej zachowała się najstarsza znana tarcza herbowa Uniwersytetu Jagiellońskiego z końca XV wieku: dwa skrzyżowane berła. W Collegium Minus mieściła się przez pewien czas Akademia Sztuk Pięknych, gdzie kształcił się Matejko, wtedy jeszcze wydział U.J.

Instytut Geograficzny przy ulicy Grodzkiej u stóp Wawelu to także budynek stary, ale wcale nie uniwersytecki. Wzniósł go na polecenie Władysława IV generał artylerii Paweł Grodzicki jako arsenał koronny. Stąd geografię w Krakowie studiowało się na beczce prochu.

Dawne Collegium Physicum, kiedyś siedziba medycyny, zbudowane za czasów Kołłątaja, stoi naprzeciw Collegium Maius przy ulicy Jagiellońskiej. Tu właśnie dwaj profesorowie U.J., Zygmunt Wróblewski i Karol Olszewski, skroplili tlen. Dziś gmach służy geologom.

Z czasów Kołłątajowskich pochodzi także ogród botaniczny z zakładem oraz obserwatorium astronomiczne na piętrze tegoż, pomieszczone w zgrabnym klasycznym budynku. Obserwatorium zakładał i urządzał dla uniwersytetu Jan Śniadecki w pałacyku pojezuickim przy końcu ulicy Korpenika, wtedy już poza miastem. Tu Śniadecki obliczył szerokość geograficzną Krakowa. Ogród botaniczny był faworytnym miejscem romantycznych spotkań studenckich, podobnie jak Planty (pod pomniczkami Grażyny albo Lilli Wenedy) i wejście do Smoczey Jamy na Wawelu.

Poza Collegium Novum, nowe były także Collegia: Philologicum, Chemicum i Physicum. Dwa pierwsze naprzeciw Novum, przez miedzę ulicy Jagiellońskiej, trzecie przez bruzdę ulicy Gołębiej. Kolegium Filologiczne, czyli Gołębia 20, albo po prostu „Gołębnik”, na samym swym szczycie, jak przystało z tytułu nauki, mieściło astronomię i matematykę. Nieliczne, ale wyboro-we było grono wymoczków za okularami — studentów matematyki, przedwcześnie dojrzałych i napiętnowanych trudem myślenia, nad wiek poważnych i pochłoniętych bez reszty nauką. Na szczycie Gołębnika siedział z lunetami mózgowi wycelowanymi w niebo legendarny łowca planet profesor Wilk i jego socjusz Tadeusz Banachiewicz, a także w dobranej kompanii matematycy, dłuższy od Wilka o trzy litery Witold Wilkosz i Stanisław Zaremba.

Przez hałaśliwe pierwsze piętro Gołębiej przechodzili indyfe-

rentnie matematycy i astronomowie, by snąć nie obrazić swej naukowej powagi w królestwie polonistycznej fantazji.

No, a inne wydziały i przedmioty miały dach już nieco dalej: medycyna, jak się rzekło, miała swoje miasto na Grzegórkach, teologowie, poza Collegium Novum, trzy budynki seminaryjne, z których najpiękniejszy był ślaski, rolnicy przy alei Mickiewicza, pedagogia i socjologia przy Straszewskiego i Wolskiej, higiena na Lubiczu, wychowanie fizyczne na Zwierzynieckiej, pielęgniarki przy medykach itd.



Największą niedogodnością życia profesorskiego było wychodzenie na Kraków. Wszyscy się profesorom kłaniali, tak że kapelusze sfruwały co chwilę z uczonych głów, na różne sposoby, w zależności od stosunku do osoby oddającej ukłon: ledwie uniesione w górę, uchylone bliżej i dalej, odchylone faliście i długotrwanie, spuszczone nisko, niekiedy ledwie dotknięte dłonią. Tak się kłaniał Stanisław Estreicher. Niektórzy profesorowie nawet albo w ogóle nie dostrzegali albo też udawali, że nie dostrzegają ukłonów. Rafał Taubenschlag mógł naprawdę nie dostrzegać, był bowiem całkowicie pochłonięty dialogami, jakie wiódł głośno ze sobą. Gestykulował przy tym zamaszycie i miotał obelgi. Miał szczególne upodobanie do chodzenia jedną stopą po krawężniku bruku, drugą po jezdni, czym z daleka przypominał kolebiącą się kaczkę.

Taubenschlag przyjął chrzest katolicki w latach trzydziestych i z prawdziwie dziecięcą wiarą wyrażał swoją dumę z odręcnego na tę okoliczność pisma papieskiego. Ale oblewał studentów, żydowskich i chrześcijańskich, także i potem niemłosiernie. Ha, prawo rzymskie nie przelewki: 316 stron formuł łacińskich na pamięć! To arcywzięte kompendium opracował sam Taubenschlag. Największym odtąd zmartwieniem jego życia — czemu nie omieszkiwał wielokrotnie dawać wyrazu w czasie wykładów — był skrupuł, że zbyt mało miejsca poświęcił różnym Ulpianusom, Gaiusom itp. Nic dziwnego, że 316 stronnic formuł łacińskich uważał za absolutne minimum dla przyszłego prawnika, i jedna niezapamiętana linijka zagradzała studentowi drogę na drugi rok studiów.

Na drugich skrzypcach prawa rzymskiego grał Stanisław Wróblewski, mniej od Taubenschlaga nieużyty, a w nauce bodaj poważniej zapisany.

Profesorowie prawnicy wyróżniali się elegancją i dziwactwami. Cywilista Dziurzyński, mocno już szpakowaty i lekko podagryczny lew salonowy, miał jeszcze w oczach żar uwodzicielski

i kopał się ochoczo ku młodszym studentkom. Do najwytworniejszych i szarmanckich jurystów liczyli się Maciej Starzewski, postać żywcem przeniesiona z pięknej epoki Młodej Polski oraz zawsze uśmiechnięty, dowcipny i rad życiu, jak na wykładowcę prawa i procedury karnej przystało, Władysław Wolter. Uniwersytet krakowski miał jeszcze drugiego Woltera, ale żaden z nich nie był wolterianinem.

Miał też wydział prawa swoją ekscelencję: b. ministra Kumanieckiego (z gabinetu Juliana Nowaka). Wymagał, żeby studenci do egzaminu przychodzili w smokingu, a już co najmniej w czarnym ubraniu. Gdy egzaminowany nazwał go profesorem, ekscelencja zwykł był przerywać słowami: „ministrem byłem także”. Lektor języka francuskiego Bernard szydził z końcówek polskich nazwisk na-ki. — Ale — dodawał — to normalne, że każdy Polak ma-ki z tyłu. Ale Kutrzeba ma ją z przodu, a Kumaniecki i z tyłu i z przodu. *Imaginez!*

Nieco trwalej niż Kumaniecki zapisał się ministrowaniem i udziałem w polityce Adam Krzyżanowski, jedna z najtęższych głów w polskiej ekonomii, światowiec prawie nigdy nie opuszczający Krakowa, mędrzec łączący demokrację z przystosowaniem do grymasów władzy, szyderca o fizjognomii Mefista. Profesor Krzyżanowski w czasie zamieszek przeciwydowskich młodzieży wkraczał zwykle w tłum jak tur gotów do ataku. Ale prawdę mówiąc nie było nigdy potrzeby profesorskiego pogotowia.

Na antypodach ideologicznych stał Adam Heydel, ekonomista, o duszy artysty, bodaj najlepszy w Krakowie koneser sztuki, autor monografii o Rafale Malczewskim, zamordowany w niemieckim obozie.

Późniejsza ofiara Oranienburga, Stanisław Estreicher, z dynastii profesorskiej, chociaż z wiedzy historyk prawa, parał się głównie kontynuacją ojcowskiej pomnikowej „Bibliografii polskiej”. Powierzchność miał schludnie mieszczańską.

Seniorem wśród prawników był Fryderyk Zoll, bardzo wiekowy, także z profesorskiego rodu, encyklopedysta w naukach prawnych, a wykładający miodową polszczyznę. Rozkoszą dla uszu był sam dźwięk jego mowy. Jednakże Zoll miał też swoje słabości. Po pierwsze był trochę nudziarzem i rygorystą: lubiał dosłowne odpowiedzi ze swoich skryptów. Potem: nie uznawał kobiet i na wykładach, często tłumnie obesłanych przez studentki, zwracał się nieuchronnie do audytorium słowami: „Proszę panów!”. Lubiał, dalej, wspominać o swoich przewagach prawnych, ściśle o jednej, mianowicie „lex Zoll”, czyli ustawie waloryzacyjnej. Nareszcie, nie należało zdawać egzaminów z procedury cywilnej u Zolla w czasie deszczów i opadów.

Piastowską krzepą i urodą odznaczał się wśród prawników Stanisław Kutrzeba, temporibus illis prezes Polskiej Akademii Umiejętności, historyk prawa i ustroju Polski, głowa potężna, umysł jasny i dostojność patriarchy pod sumiastym wąsem Sarmaty. Sam ojciec trzem córom, miękkie serce miał dla panienek, które go szykiem brały pod włos przy egzaminach. Kutrzeba po prostu nie umiał być nieuprzejmy wobec płci pięknej i tylko bardzo rzadko obcinał białogłowę. Raz też studenteczka pewna zasiadła do egzaminu w cud-sukni i uruchomiła wszystkim wdzięk swojego rodzaju. Ale nie domyślała się, że egzaminuje ją nie Kutrzeba, lecz inny historyk ustroju, Zakrzewski. Gdy dość już długo zamiast wiedzy dziewczę roztaczało przed egzaminatorem urok osobisty, profesor rzekł wreszcie:

*Jam Zakrzewski,
nie Kutrzeba:
Jemu trzeba,
mnie nie trzeba.*

Inni profesorowie wydziału prawnego już jakoś, mimo tęgich głów, uchodzili za wielkości drugorzędne.

Więc Jerzy Langrod (prawo administracyjne), trochę bratłata, autor mnemotechnicznych powiedzonek w rodzaju: „Województwo jest to władza, która nikomu nie dogadza, dzieli się na działy, wydziały i podwydziały, żeby strony nie wiedziały, gdzie się sprawy ich podziały”.

Więc słabowity Abdon Kłodziński, wykładowca polskiego prawa prywatnego, udręczony przez niesforną studenterię.

Więc Jerzy Lande, teoretyk i historyk filozofii prawa, o manierach i powierzchowności sportowej.

Więc Adam Vetulani, kanonista, zwany popularnie „Wytulanym”, zerkający ku ludowcom, który musiał zabiegać usilnie, aby utrzymać czarną głowę powyżej katedry. Pewien studencina, zapytany przy egzaminie, jakie są przeszkody, by zostać proboszczem, rąbnął, widać pragnąc sobie zjednać profesora: „przynależność do stronnictwa ludowego”.

Więc Szczęsny Wachholz, Lulek, drobny i śmieszkowy Gwiazdomorski, pies na formalistykę i ordynację wyborczą za czasów sprawowania funkcji kuratora Bratniej Pomocy. Więc popeśliwy Sarna. I inni.

Nareszcie maleńki cywilista Gołąb, o którym gadano, że zaopatruje swoje książki w portrety autora naturalnej wielkości i że robi co może, aby nikogo z prawa nie wypuścić. (Egzamin u niego był ostatnim w programie studiów).

Masówka studencka na prawie nie sprzyjała wytworzeniu się na tym wydziale ani tradycji, ani mocniejszych węzłów koleżeńskich, ani trwalszej wspólnoty. Na wydział uczęszczało najwięcej studentów z prowincji, doskakujących tylko okazjnie do Krakowa, sporo też takich ludzi, którym prawo było potrzebne do karier czy po prostu do utrzymania się na stanowiskach urzędniczych. Toteż nawet seminaria prawne traktowali studenci jako obowiązek, który trzeba zbyć i odbębnić.

Jedyną platformą społeczną było tam Towarzystwo Biblioteki Słuchaczy Prawa, rozporządzające ogromnym księgozbiorem, a zwłaszcza skryptami do egzaminów. W okresie napięć ideowopolitycznych Towarzystwo budziło żywsze zainteresowanie, ale raczej u przywódców młodzieży, choć ilość głosów w wyborach do Biblioteki (TBSPUJ) przekraczała jedną trzecią słuchaczy wydziału.

O wiele ściślejsze więzy łączyły studentów innych wydziałów. Medycyna była tradycyjnie profesją solidarystyczną i zamkniętą. Medycy tworzyli klan dumny ze swej odrębności i niezmiernie czuły na punkcie lojalności zarówno wobec profesorów jak i koleżeńskich.

Rolnictwo, farmacja, wychowanie fizyczne oraz prawie wszystkie przedmioty wydziału filozoficznego zbliżały studentów zawodowo i towarzysko. Z reguły małżeństwa zawiązywały się na ławach seminaryjnych i wykładowych. Rolnicy dodatkowo wyznawali jeszcze coś w rodzaju świadomości klasowej, ziemiańskiej, przy czym tytuł studiów i stopień naukowy zastępował już w naszych czasach szlachectwo, zresztą taka też była odwieczna tradycja wszechnicy krakowskiej.

◆
Biblioteka Polska
Kole Żurycy SPK

Teologia nie była pierwszym historycznie wydziałem krakowskiego uniwersytetu. Zbyt pochopnie z tego wyciągają wnioski w gorącej wodzie kąpani historycy materialistyczni. Papież Urban V nie zgodził się na utworzenie w r. 1364 w ramach Studium Generale teologii z tego prostego powodu, że niedawno nadał ten przywilej Pradze. Jednakże kanclerzem zorganizowanej na wzór uniwersytetów w Padwie i Bolonii wszechnicy został biskup krakowski, nadający stopnie magistrów i doktorów na wydziałach prawa, medycyny i filozofii.

Dwie pierwsze katedry medycyny zabezpieczały dochody królewskie z salin wielickich. Z XIV wieku dochowała się jedyna praca naukowa wykładowcy z tej dziedziny krakowskiej akademii: traktat nieznanego mistrza. W odnowionej akademii poło-

żono duży nacisk na tę dyscyplinę, o czym świadczy najwymowniej zbudowanie dla wydziału medycyny osobnego Collegium Physicum. Fakultet lekarski zasłynął też tym, że dwaj jego profesorowie pierwsi przełamali celibat, jaki obowiązywał wówczas wykładowców uniwersyteckich.

Po wiekach profesorowie krakowscy nie tylko uwolnili się od reguł duchownych, ale nawet obrośli w wygodne przywileje stanu. Kiedy zaproszony na odczyt do Krakowa w całkiem już nowych czasach profesor ekonomii Roman Rybarski z Warszawy zajął w towarzystwie studentów mięsivo w piątek, widząc zakrąglone oczy, najpierw zjadł wszystko do końca, potem otarł serwetą usta i rzekł: „Pewnie panów to dziwi, ale jako dawny profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego korzystam z dyspensy Bonifacego IX”.

Powróćmy wszelako do medycyny, i od razu w wiek XX. Była to era rektorów z wydziału lekarskiego. Poczet ich w tym stuleciu zapoczątkował Napoleon Cybulski, po nim berło Jadwigi trzymał Leon Jakubowski, następnie przez trzy lata Kazimierz Kostanecki, a w dwudziestolecie niepodległości państwa Leon Marchlewski i Stanisław Maziarski. Pierwszym po drugiej wojnie rektorem U.J. i ostatnim z wydziału medycznego został Franciszek Walter. Ostatnim, bo Szkołę Medyczną wyłączono w zapale burzenia narodowej tradycji z ram Uniwersytetu.

Profesorowie medycyny krakowskiej zapisali się złotymi zgłoskami nie tylko w dziejach nauki polskiej, ale i światowej. Byli tak pochłonięci wiedzą i jej przekazywaniem, że na tym wydziale nie było czasu ani miejsca na dziwactwa i pustoty. Ma się rozumieć, że młodość umie podpatrzeć we wszystkim jakąś skazę czy śmieszność, toteż i profesorom medycyny nie uchodziło na sucho a to zbyt częste chrząkanie, to jakaś formuła stylizacyjna, a to nawet powtarzanie nieodzownych zwrotów. Na ogół wszakże wykładowcy medycyny mówili płynnie i klarowną polszczyzną. Nie kto inny najpiękniej przełożył poetycko na język polski „Fausta”, jak profesor medycyny sądowej U.J. Leon Wachholz.

Wytworny orator, urodziwy mężczyzna i niezrównany znawca anatomii opisowej Kazimierz Kostanecki (który potem w Oranienburgu otworzył długą listę zamęczonych profesorów) zaczynał wykłady od napisu widniejącego na drzwiach wejściowych do prosektorium w Paryżu: *Hic est locus ubi mors gaudet succurere vitae* („to jest miejsce, gdzie śmierć raduje się, że może wspomagać życie”). Najpiękniejszą cechą profesora, zwanego przez wszystkichrektorem, Kostaneckiego, przez pewien czas także prezesa Polskiej Akademii Umiejętności, było poszanowanie ciała

ludzkiego i wpajanie w młodzież studiującą szacunku do zwłok, dających możliwość zdobycia wiedzy anatomicznej.

Ten kto chrząkał często, to był wykładowca chemii organicznej Leon Marchlewski. Było to uosobienie powagi i niezgłębionej wiedzy. Emil Godlewski młodszy wykładał embriologię tak pięknie i z takim zapałem niemal aktorskim, że mogło się здаwać, iż to przedmiot humanistyczny.

Stanisław Maziarski dusił bardzo studentów, i to nie tylko na wykładach i przy egzaminach histologii, ale także jako rektor. Bardzo drobiazgowy, lubił wzywać do siebie pojedynczych studentów i perswadować im, żeby nie wyprawiali awantur. Wybadał, że Koło Polonistów jest pepiniarą nadzwyczaj aktywnych narodowców, więc w okresach krytycznych wzywał prezesa tego Koła, podbijając mu bębenka słowy: „Jak tylko wy poloniści nie wystąpicie, będę spokojny o cały uniwersytet”. A co najdziwniejsze przy tym, to opinia zagorzałego narodowca, jaką się cieszył, słusznie czy nie, ale powszechnie Stanisław Maziarski.

Trzeba skończyć z wydziałem lekarskim, bo temat to za trudny na gęsie pióro gawędziarza, a godny historyka nauki i kultury. Było profesorów medycyny chyba więcej niż na innych wydziałach: Latkowski, Lewkowicz, światowej sławy chirurg Glatzel i Rutkowski, Hoyer, Gieszczykiewicz, Mazurkiewicz, Piltz, Kaden, Łepkowski, Tempka.



Od roku odnowienia akademii 1400 na czoło nauk wysuwała się teologia, która naówczas obejmowała też etykę, filozofię, prawo, sztukę, a nawet ekonomię. Uczelnia krakowska otrzymała, na wzór Sorbony, charakter i ustrój ściśle duchowny.

Od reformy Kołłątajowskiej (1777) nauki świeckie poszły własnym torem, a przy teologii pozostała jeszcze tylko, i to do czasu, filozofia, prawo kanoniczne i historia sztuki sakralnej. W latach trzydziestych XX stulecia teologia nadal uchodziła za wydział bardzo dostojny i na europejskim poziomie, ale przez powołanie duchowne alumnów wyraźnie wyodrębniony od innych wydziałów. Nie było też mocniejszych, poza osobistymi, węzłów studenckich między teologami a resztą. Co prawda, profesorowie teologii grali znaczną rolę w życiu uczelni, piastując godności i opiekę nad młodzieżą.

Ks. prof. Konstanty Michalski, wybitny znawca myśli filozoficznej Europy XIII i XIV wieku, tomista, złotousty mówca, piastował godność rektora w roku akademickim 567. Mowę inauguracyjną poświęcił próbie dotarcia do sensu dziejów jako zbior-

rowej rzeczywistości ludzkiej. Nawet po powrocie z Oranienburga nie utracił ks. Michalski wiary w ludzkość jako wspólnotę idei, choć zrozumiał, że droga do niej wiedzie „między heroizmem a bestialstwem”. Zabiegał ks. Michalski, pokonując mnóstwo przeszkód, o habilitację na Uniwersytecie Jagiellońskim wielkiej nadziei polskiej filozofii chrześcijańskiej ks. Jana Salamuchy, co mu się w końcu powiodło. Niestety, ks. Salamucha, nim zdążył nazwisko swoje zapisać głębiej w dziejach nauki, zginął, rozstrzelany przez Niemców w czasie powstania warszawskiego. Habilitował również ks. Michalski o. I.M. Bocheńskiego. Krakowska szkoła tomistyczna dopiero się na dobre zawiązywała, kiedy ją zniszczyła i rozproszyła katastrofa wojenna.

Na czele wydziału teologicznego stał illo tempore ks. A. Bystrzonowski. Ks. Jan Archutowski, bibliista, był kuratorem „Młodzieży Wszepolskiej” w latach przed drugą wojną. Ks. Jan Piwowarczyk, biegły znawca katolickiej doktryny społecznej i wyraziciel idei Księcia Metropolity Adama Stefana Sapiehy, redaktor dziennika chrześcijańsko-społecznego „Głos Narodu”, cieszył się ogromnym mirem u młodzieży, zwłaszcza w „Odrodzeniu”. Ks. Kaczmarczyk słynął z wykładów wypowiedzianych gwarą góralską, zaś ks. Kruszyński jako podwójna wedeta: sztuki kościelnej i krakowskiego BBWR.



Wydział filozoficzny dzielił się na dwie połowy: matematyczno-przyrodniczą i humanistyczną. Na każdej prawie gałęzi tego olbrzymiego tulipanowca (*Rhododendron tulipifera*) kwitły jakieś sławy. Rzućmy okiem na ten rój gwiazdny, wybierając z pamięci to, co w niej trwalej utkwilo.

Któż by mógł sporządzić dokładny atlas firmamentu naukowego wszechnicy krakowskiej? Nawet wskazując na jaśniejsze ciała niebieskie i wywołując ich nazwy, chylibyśmy celu, gdyż oprócz nazwisk, oprócz zakresu wiedzy, którą reprezentowały, trzeba by jeszcze umieć przedstawić znaczenie tych sław w środowisku krakowskiej nauki.

Bo z pewnością geografowie Ludomir Sawicki, twórca polskiej kartografii, albo gigant geografii gospodarczej Jerzy Smoleński, biolog morski Michał Siedlecki, przyrodnicy Władysław Szafer, Kazimierz Roupert i Leon Surzycki, czy antropolog Julian Talko Hryniewicz inną rolę spełnialiby i inaczej promieniowali niż z uczelni jagiellońskiej. Przydawała ona uczonym swoistej dumy, pogłosu i przede wszystkim niezawisłości. Nigdzie też chyba boleśniej nie przeorała nauki reforma szkolnictwa wyższego

i osławione rugi profesorskie w roku 1933. Uniwersytet Jagielloński odparł częściowo te zakusy, jednak usunięcie w drodze administracyjnej a ze względów politycznych we własnym państwie elity profesorów i ich osobiste tragedie z tego powodu stały się ciosem, jaki na tę skalę nie spotkał uniwersytetu krakowskiego w ciągu sześciowiekowej blisko historii. W Krakowie autonomia uniwersytecka była historyczną glebą dla prawidłowego rozwoju nauki, a brak jej zagrażał jej kultywowaniu w ogóle.

Wielka to śmiałość dmuchać w cudzą kaszę, aczkolwiek na krakowskim uniwersytecie wszyscy się znali i nie było chyba studenta, który by dla jakiejś przyczyny, na spotkanie z kolegą czy na randkę z koleżanką, dla naocznego przekonania się o dziwactwach profesorskich, czy choćby dla prostej ciekawości, choć raz nie zaszedł do nieswojej parafii. W każdym razie zobaczyć prosektorium, ogród botaniczny czy obserwatorium astronomiczne uchodziło za taki sam studencki obowiązek jak wypić kwaterkę albo i garniec miodu „Pod Krzyżykiem”. A już na własnych, humanistycznych śmieciach, wolność Tomku i we własną wchodziło się kapustę.

Mile widziane przez profesorów było dobieranie tzw. bocznych przedmiotów, mniej lub bardziej zbliżonych do podstawowego. Matematycy tedy łączyli swój przedmiot z astronomią, historycy z historią kultury, historycy sztuki z archeologią klasyczną lub prehistorią, poloniści ze sławistyką itd. Germaniści, romanści, angiści często chodzili podwójnym torem, jednak równorzędne i pomyślnie ukończenie dwu przedmiotów było tak rzadkie, że aż niemożliwe. A dwa wydziały naraz to już szczerą fantazją. Tylko w anegdocie wojskowej mawiało się o naukowcach „z pełną walizką fakultetów”, a jeśli czasem zdarzali się posiadacze dwu magisteriów, to z pewnością z czasów króla Cwiczka, gdy wysłuchanie wykładów starczyło do uzyskania tytułu naukowego. Zdarzało się natomiast studentom zamożniejszym i szukającym kariery ukończenie, oprócz prawa, tzw. szkoły nauk politycznych, bodaj jedno czy też dwurocznej powtórki i rozwinięcia odpowiednich wykładów i seminariów. Ale ta szkoła nie wydawała osobnych magisteriów.

Biedni studenci wydziału filozoficznego ostatni rok studiów musieli, oprócz pisania pracy magisterskiej, poświęcić dodatkowo na przeładowane około 10 przedmiotami Studium Pedagogiczne, które wydawało po zdaniu wszystkich egzaminów państwowe świadectwo nauczycielskie. Nie dziwota, że magistrzy tego wydziału wychodzili z uczelni w świat wyżęci z sił i wymokli jak śledzie holenderskie.



Po świetnym okresie historycznej „szkoły krakowskiej”, która upatrywała drogę do zbawienia kraju w silnych rządach i przygotowała ideowe podwaliny pod rządy Piłsudskiego, w latach niepodległości powiał w Krakowie nowy duch historii: optymistyczny i wynoszący na świecznik tradycje demokratyczne w naszych dziejach.

Czołowymi przedstawicielami tej szkoły byli: Władysław Konopczyński, Waław Sobieski, Stanisław Kot i Józef Feldman. W latach dwudziestych nadto Franciszek Bujak i Waław Tokarz. Ale inni historycy krakowscy raczej podtrzymywali stare tradycje, żeby wspomnieć Kutrzebę, Jana Dąbrowskiego i Władysława Semkowicza. W poniższej gawędzie trudno nawet na oko zmierzyć głębię i ocenić wielkość ich dzieł. Chodzi tu bowiem tylko o ludzkie sylwetki i o smak czasu.

Niski, surowych rysów Konopczyński, pod sporym wąsem i ze szwedzką bródką, zdawał się nie dbać o powierzchowność i jako bodaj jedyny profesor U.J. z Domu Profesorów na alei Krasieńskiego dojeżdżał na wykłady rowerem. Sam o sobie opowiadał, jak to dla zabawy sprzedawał przy drodze koło swojego mająteczku pod Krzeszowicami jabłka z koszyka przejeżdżnym automobilistom. Razu pewnego przystanął przed nim cały szpaler eleganczyków samochodów, z których wysiedli kupić jabłek... angielscy turyści. Profesor wprowadził towarzystwo w osłupienie znakomitą angielszczyzną. Na pytania zdumionym, kim właściwie jest, odparł ze śmiertelną powagą, że małym farmerem.

— A gdzie was tak dobrze nauczono po angielsku?

— W wiejskiej szkółce — odpowiedział bez zająknięcia profesor, nie dając się wytrącić z zabawy.

Skończyło się fotografią osobliwego farmera.

W obliczu Władysława Konopczyńskiego łączyła się dobroć z surową powagą. Uśmiechał się niezmiernie rzadko i krył ten uśmiech pod strzechą wąsów. Ale był pierwszy w zabawie i nie opuszczał, zaproszony na studenckie potańcówki, żadnego tańca, wirując jak wodzirej, obwieszony kotylionami i z miną ascety. W oczach jego tkwiła taka przenikliwość, że zdawało się, iż ma w nich promienie x wierzące na wylot mózgi rozmówców. Zresztą, kto wie, czy nie miał. Był tytanem wiedzy zupełnie niewiarogodnej. Władał coś dziesięcioma językami, w tym szwedzkim i tureckim, które sobie przyswoił, aby móc swobodnie szperać w źródłach. Archiwa i biblioteki Europy znał prawie co do tomu, a dzieje Polski, Szwecji, Węgier, Turcji i Rosji mógł odtwarzać

dzień po dniu. Co się działo w Polsce XVIII wieku, to już mógł powiedzieć w skali każdej rodziny i dworku.

Najwyższy wzlot siły twórczej Konopczyńskiego przypadł na lata okupacji. Wywieziony w grupie 183 profesorów, docentów i asystentów U.J. do Sachsenhausen-Oranienburga, skąd już z życiem nie wyszło dwudziestu, a wyszedłszy zmarło z wycieńczenia dziesięciu, natychmiast po zwolnieniu zorganizował, z Wł. Szafarem i Mieczysławem Małeckim, podziemny uniwersytet, tajne wykłady, seminaria i egzaminy, i w ciągu strasznych pięciu lat napisał ok. 20 potężnych rozmiarami dzieł, nie licząc setek haseł do założonego przez siebie i redagowanego na zlecenie Polskiej Akademii Umiejętności „Polskiego Słownika Biograficznego”. Wśród dzieł z historii nowoczesnej znalazły się dwie z dzieł najnowszych: monografia o Józefie Piłsudskim i historia ruchu narodowego. Niczego w Polsce Ludowej z tych prac nie wydano, złożoną już „Historykę” stopiono, wyszczuto profesora z prezesury Polskiej Akademii Umiejętności, potem z redaktorstwa „Słownika Biograficznego” (wygodniej było wstrzymać wydawanie Słownika niż pozostawienie go pod redakcją Konopczyńskiego), na koniec usunięto z katedry. Zmarł, rzec by można, zasypywany gruzami swojej legendarnej wiedzy, osierociwszy wspaniałej urody małżonkę i trzy córki, które uchodziły za piękności nie tylko uczelni, ale i Krakowa.

Politycznie należał profesor do obozu narodowego, lecz prozony o odczyt dla „Młodzieży Wszehpolskiej”, wybrał za temat konfederację barską, zaczynając rzecz słowami: „Jedynym stronnictwem, do którego przez całe moje życie i całą duszą należałem, to konfederacja barska...”. Ulubionym wychowankiem Konopczyńskiego był Józef Feldman.

Wacław Sobieski nie był tego pokroju erudytą co Konopczyński, ale miał może większy dar syntezy. Życie skróciła mu polityczna emerytura jędrzejewiczowska.

Historia i polonistyka w latach trzydziestych były frekwencją inne przedmioty wydziału, przy czym większość ław obsadzały studentki. Aż dziw było ujrzeć na wykładach historii wojska polskiego generała Mariana Kukiela pełną salę urodziwych i zasłuchanych pańienek. Generał był ceniony wysoko jako wzorowy wykładowca, zamiłowany w przedmiocie i umiejący swoją wiedzę przekazać. Studentom wydawał się szorstki, generałowaty, wodzowski. Miał po temu powody, bo i jego nie minął topór pomajowej niełaski. Na szczęście dla siebie, generał schronił się do matecznika muzeum Czartoryjskich, gdzie z lubością zatonał w papierach Kościuszki, Księcia Adama i Wielkiej Emigracji. Rzu-

cał stamtąd błyskawice olśniewających rozpraw naukowych, ale z muzeum dochodziły też gromy opozycyjnego słowa.

Spośród liczznego grona historyków wymienić należy Jana Dąbrowskiego, zapalonego herolda przyjaźni polsko-węgierskiej, a z wyglądu coś jakby ugrofina.

Profesor Stanisław Kot, polihistor: historyk, historyk kultury, wychowania i literatury, utracił, oczywiście, katedrę w roku 1933, ale uniwersytet swoimi sztuczkami utrzymał i katedrę i seminarium historii kultury. Nie mógł tylko profesor dawać odąd stopni akademickich, poza tym katedrę historii wychowania przejął miły wychowanek profesora Jan Hulewicz.

Na seminarium prof. Kota uczęszczała garsteczka słuchaczy, gdyż był to przedmiot, z którego po reformie nie wolno było zdawać magisteriów, a więc zupełnie platoniczny. Jednakże parlamentarny duch seminarium i fenomenalna erudycja profesora przyciągały wytrwałą garść słuchaczy.

Stanisław Kot marnował się na swojej zamkniętej, niebawem zlikwidowanej katedrze. Odpowiedniejsze dla niego byłoby wielkie, międzynarodowe audytorium. Z łatwością przechodził z języka na język, a po łacinie mógł wykładać jak sam Włodkowiec, obejmował wiedzę dzieje powszechne, znał najdrobniejsze szczegóły personaliów i kulisów w historii i w życiu bieżącym. On to zorganizował i był duszą jednego z najświetniejszych zjazdów naukowych w Polsce dwudziestolecia: ku czci Jana Kochanowskiego. Każdą rozmowę z prof. Kotem można by właściwie spisać jako szkic lub rozprawę naukową.

Wszakże namiętności religijne i polityczne odciągały go od nauki i sprowadzały w kałuże ludzkiej małości i nikczemności oraz płątały we własnych siódmach doktrynerskich. Kotów było dwu: gdy mówił o nauce, twarz wyglądał mu łagodny uśmiech mędrca, głos nabierał aksamitu i lotności; gdy politykował, stawał się hardy, zaczepny, nieprzejednany, oblicze ścinał mu grymas, ręce dygotały.

W czasie konfliktu litewskiego przywitał piszącego te słowa podniesioną łaską i słowy: „To pan jeszcze nie w Kownie?”. Dziwne, ale polski nacjonalizm chował się w pochwę tylko własnie przed Litwinami. Więc tę łaskę profesor podniósł niesłusznie. No, ale już taki był. Gdy po zwolnieniu go z więzienia w okresie strajków chłopskich odwiedziłem go w Zakopanem, na odmianę przedstawił piszącego te słowa jakiemuś działaczowi ludowcowemu jako „jednego z naszych młodych”. Nie śmiałem przeczyć. Gdy zaś przechadzaliśmy się Plantami, raz po raz stawał, celował łaską ku Bogu ducha winnym szaraczkom i stwierdzał: „Patrz pan, to szpicel!”.

Jeżeli jest prawdą, że Polacy to naród, który strzela diamentami do nieprzyjaciół, to dzieje życia Stanisława Kota dają tego najlepszy dowód. Lata drugiej wielkiej wojny i emigracji strawił ten genialny umysł na odgadywaniu szarad stalinowskich, grze w durnia z Wyszyńskim i Berią oraz na wojnie kokoszej z innym zmarnowanym naukowcem, prof. Strońskim. Tenże, odchodząc z gabinetu Mikołajczyka, rzekł do premiera: „Wiem, że pan woli bardziej Kota ode mnie, ale to nie powód, żeby mnie pan traktował jak psa”. I na cóż się to wszystko przydało?



Katedry filozofii ścisłej, jak sama nazwa wskazuje, obsadzali głównie dziwacy.

Tadeusz Garbowski, lękliwy, zamknięty w sobie, nie mający odwagi oczu oderwać od ziemi, mówił głosem jednostajnym i nosił we wnętrzu jakiś ciężki zawód życiowy. Klucza do tej sprawy można by szukać w obfitej korespondencji Garbowskiego z Elizą Orzeszkową.

Witold Rubczyński, estetyk, mógł służyć jako idealny model do rzeźby Sokratesa.

Władysław Heinrich, historyk filozofii średniowiecznej i psycholog, krwisty, nerwowy do szaleństwa, wybuchowy, zapewne wysoko ciśnieniowiec, nie znosił najłżejszego szmeru w czasie wykładów. Egzaminując miał zwyczaj długimi rozwartymi nożycami mierzyć w swoje oczy lub trzecią wierzch jednej dłoni spodem drugiej. Oceniał egzaminowanych falami: jedna grupa — dobrze, druga — niedostatecznie. I tak na zmianę. Studentki skądeś wywąchały, że profesor uwielbia kolor niebieski. Za czym już innego koloru sukien i bluzeczek przy egzaminach z psychologii (a zdanie jej było wstępnym warunkiem korzystania ze Studium Pedagogicznego) nie można było uświadczyć. Mimo to fale odchodziły nadal rytmicznie: jedna z dobrym, następna z niedostatecznym. Inna rzecz, że czasem profesor mówił: „Proszę się wynosić z niedostatecznym, prócz tej pani w niebieskim kostiumie”. Albo, gdy odprawiona już z niefortunną grupą studentka przyszła się upewnić co do wyniku, prof. Heinrich — bywało — zmieniał zdanie: „No przecież dałem pani dobrze”. I zajrzawszy do notesu skreślał niedostatecznie wpisując w to miejsce dobrze.

Każdy student musiał być gotów na pierwsze pytanie profesora: „Idąc przez linię C — D, co pan(i) widzi wieczorem?”. Prawidłowa odpowiedź brzmiała: „Reklamę świetlną firmy Su-chard”. Taka odpowiedź od razu dobrze usposabiała egzaminatora.

Z psychologią i pedagogią powiązane było jeszcze parę katedr, wśród nich Stefana Szumana. Kulturalny i subtelny ten wykładowca, o bujnej grzywie, bardziej się zainteresowaniami skłaniał ku sztukom pięknym niż ku nauce. W istocie wraz z małżonką, córką Stanisława Szczepanowskiego, prowadził salon artystyczny, gdzie się spotykali poeci, malarze i muzycy. Szuman pisał też więcej o poezji i muzyce niż o psychologii pedagogicznej.

Skoro już mowa o salonach literacko-artystycznych, nie podobna pominąć pierwszego wśród nich: państwa Jachimeckich, ściśle pani Zofii Jachimeckiej i jej męża. Profesor Zdzisław Jachimecki był bodaj najtęższym muzykologiem i historykiem muzyki w Polsce. Pani Zofia doskonałą tłumaczką dzieł dramatycznych z obcych języków, zwłaszcza z włoskiego. Znakomita większość sztuk cudzoziemskich wędrowała na scenę krakowską jeszcze mokra od atramentu i perfum „panny Jachimeckiej”. Tak powszechnie zwano panią Zosieńkę, nie wiadomo dlaczego, czy że zachowała długo ślad niewinnej urody, czy też, jak szeptano, że rzeczywiście... Oboje byli wzorami manier i wytworności oraz ostatnimi krzykami mód: on w popielatych flanelach lub we fraku, ona w kapelusiku z ptaszkami, kwieciem, ogonkiem, w woalce odsuniętej, buźka w ciup, naszyjnik złoty po pas i koniecznie lorgnon, chociaż łoża państwa Jachimeckich była tuż przy samej scenie. Oczu nie można było oderwać od obojga.



A teraz od rajszych ptaków do mamutów. Wykłady prehistorii odbywały się albo w mrocznym gabinecie na parterze Collegium Novum albo na drugim piętrze gmachu Polskiej Akademii Umiejętności przy ulicy Sławkowskiej 17, w pracowni muzeum prehistorii, najbogatszego w Polsce, ze sławnym Światowidem wyłowionym ze Zbrucza, nosorożcem ze Staruni, kamieniami miłczyńskimi i potężną kolekcją bab kamiennych.

Prehistoria skupiała małe, lecz wyborowe grono słuchaczy, z których niemal każdy zapisał się w dziejach tej dyscypliny w Polsce. Należeli do nich: Stefan Nosek, badacz okolic Krakowa, Gabriel Leńczyk, badacz kopca Krakusa, Rudolf Jamka, redaktor czasopisma „W otchłani wieków”. Katedrę zajmował najpierw nestor tej nauki Włodzimierz Demetrykiewicz. Wiekowego i niedołęznego starca potężnej tuszy wnosił żywcem na salę wykładową służący pielęgniarski.

Z czasem przedmiot stał się modny wśród historyków sztuki. Śliczne panny rozjaśniały ciemną oficynę, zwłaszcza gdy katedrę po Demetrykiewiczu objął Stefan Żurowski, a po nim fil-

mowo przystojny i zdaje się na płeć nieobojętny Tadeusz Sulimirski.



Znaczna część przedmiotów wspierała swoje znaczenie i głowie na indywidualnościach uczonych. Jak etnografia z Janem St. Bystroniem, jedną ręką podtrzymującym sutą faję, a drugą wiecznie coś notującym. Bystron, jak niosła fama, pisał książkę co miesiąc, a właściwie nie pisał, tylko mu się sama składała z pomysłowo zestawianych „fiszek”. Głowa Bystronia poprzedzała w ten sposób nowoczesne „computory”.

Osobowością swoją w cień spychał innych wykładowców filologii klasycznej Tadeusz Sinko, krakus na 102 z języka i krowodrzanin ze stroju i manier. Głowa jak ćwierć rzucała podwójny blask: od łysiny i grubych szkieł. Łysinę niekiedy przesłaniał wyświechtanym kapeluszem, ale tylko od tyłu. Paletko mogłoby wskazywać na przynależność do cechu murarskiego, ale tylko w drodze do pracy. Ręce trzymał zazwyczaj profesor w kieszeniach spodni, jakby zawsze czegoś pełne. Wyglądał trochę jak herma komiczna. Nie wersalczyk w czasie wykładów, sam siebie przechodził w rozmówkach ze studentami na korytarzach, rechocząc co chwila i szydząc.

Był to nadzwyczaj pracowity erudyta, miał jednak stanowczo nadmierny pociąg do pióra. Wygłaszał sądy niesłuchanie pośpiesznie, formułował wnioski bez dostatecznych przesłanek, jego przedmowy i komentarze wypełniały lwią część wydań autorów greckich i łacińskich dla szkół i tomów „Biblioteki Narodowej”. Przymierzał ustawicznie do antyku Mickiewicza, Wyspiańskiego, Kasprowicza, Bóg wie kogo. Ale na tym nie koniec. Recenzował też w „Ilustrowanym Kurjerze Codziennym” najnowszą poezję. Brał na serio ocean tych cudactw i z powagą przytaczał z tomików strofy, do których tylko dostosowywał pytańniki, wykrzykniki i wiązania w rodzaju: „dalej poeta mówi”, „od tonu pogodnego poeta przechodzi do smutku”, „koniec wieńczy dzieło radosnym okrzykiem” itp. Tydzień w tydzień recenzent załatwiał w mozole co najmniej 10 tomików w odcinku.

Krzywdą byłoby wszelako nie stwierdzić, że Sinko to był prawdziwy erudyta w literaturze antycznej i zasłużony popularyzator kultury klasycznej w Polsce. Swoją rubaszną ruchliwością i łatwym popularyzatorstwem przyćmił innych filologów klasycznych.

A miał Uniwersytet Jagielloński jeszcze dostojnego greceję starego, gramatycznego stylu, Ludwika Ćwiklińskiego, któremu

w latach owych wyprawiono w auli jubileusz 90-lecia. Miał też uniwersytet światowej sławy bizantynistę Leona Sternbacha.

Większość głównych wykładów fakultetu humanistycznego odbywała się w drugim co do wielkości lectorium Collegium Novum, Jana Długosza (40). Wykładali tu historycy, filologowie klasyczni, germaniści, romaniści, angiści, profesor Pigoń. Tu też odbywały się lekcje najtłumniejszego lektoratu: angielskiego.

Nomina wpisywali profesorowie do indeksów przed lub po wykładzie. Ta nieco uciążliwa czynność dobrze obrazowała profesorskie charaktery. Jedni podpisywali się z namysłem i uroczystością, inni niedbale i niecierpliwie, niektórzy wertowali indeksy i radzi byli wiedzieć, komu nomen dają, jedni przy tym zajęciu milczeli jak grób, inni wciągali studentów w rozmowy lub brali na spytki.

Władysław Folkierski nadawał tej oschłej czynności — bo podpisać się kilkadziesiąt razy w ciągu paru minut to nie bagatela — ton swobody i nieskrępowania, cyfrując kratki z uśmiechem, dysputując przy tym i żartując, sypiąc anegdoty i dowcipy. W uśmiechu, gestach i tonie głosu mieścił się zniewalający czar tego człowieka. Profesor należał do nielicznych ludzi, świadomych, że człowiek wyróżnia się wśród stworzeń nie tylko rozumem, ale i darem tego, co św. Tomasz z Akwinu nazywa „rozkoszowaniem się”, zdolnością do radości, weselenia się, humoru. W jego duszy panowała bezchmurna pogoda, a przynajmniej dla drugich miał zawsze ciszę błękitu. Wchłoniął wszystek miód radości z dzieł literackich, smakował język jak wymyślny przysmak, w każdą myśl jego wnikał promień radości jak słońce przez witraż.

Łączył doskonale talenty wykładowcy i uczonego, to znaczy wyczuwał granicę między słowem pisany i mówionym. Ale skłaniał się bardziej ku mówieniu, krasomówca z Bożej łaski. Pisał tak jakby mówił, ale też mówił tak, jakby odczytywał tekst o długich okresach, z wtrąceniami, dygresjami i glossami. Nie miał przy tym najmniejszego upodobania do naukowej zawilgości, rządziła nim pasja jasności, ale i wnikania w najtrudniejsze pokłady wiedzy humanistycznej. Czarował słuchaczy modulacją głosu, sceniczną płynnością wykładu i nieskazitelną dykcją. Z muzyczną wirtuozerią przechodził z języka w inny język, a znał ich doskonale kilka. Dla jego oratorstwa można szukać paranteli w stylu Ignacego Chrzanowskiego, mistrza Folkierskiego i bliskiego przyjaciela. Dodać trzeba, że pierwszy romanista U.J. był zarazem tęgim polonistą.

Romanistyka owych czasów była rezerwatem dla kobiet. Asystenturę sprawowała dr Maria Malkiewiczówna o dużej wiedzy i wdzięku osobistym. Nieliczni mocniejszej płci studenci tego

przedmiotu wyraźnie niewieścili w manierach, języku, a nawet zamiłowaniu do strojów.

Na odwrót, germanistyka to była domena męska, i to chłopów na schwał, przeważnie Ślązaków. Zanim katedrę objął energiczny Karol Kleczkowski, dni swoich dożywał na wydziale sędziwy i zdzieciniały Wukadinowicz. Godziny przeznaczone na wykłady wypełniał zwykle pracowicie podpisywaniem indeksów.

Bodajże talent pedagogiczny Romana Dybowskiego ścigał sporą ilość słuchaczy na anglistykę. Tuż przed wojną katedrę przejął z jego rąk najlepszy znawca Szekspira w Polsce Władysław Tarnawski. Wielką przyszłość lingwistyczną zapowiadała piękna i melancholijna asystentka dr Corbridge Patkaniowska. O Dybowskim warto dopowiedzieć, że serdecznie popierał pisarzy ze Śląska. Uroczy zbiorek gawęd cieszyńskich Adolfa Fierli ukazał się z przedmową prof. Dybowskiego.

Miał, oczywiście, U.J. różne inne katedry filologii, nawet orientalnej (Wierusz Kowalski), a nawet sinologii (Jabłoński), lecz najbardziej zdumiewającym zjawiskiem było minimalne zainteresowanie przedmiotami słowiańskimi. Jeszcze Bohdan Łepki i Smal Stocki mieli tam swoich Ukraińców, ale wszystkie inne katedry słowiańskie robiły bokami, w niektórych latach zamykając się całkowicie. Na wykłady świetnego rusycysty i urodzonego causeura Waława Lednickiego kwapiło się jeszcze jakie takie grono słuchaczy ze względu na talent oratorski profesora, ale seminarium świeciło pustkami. Wykłady wszakże Lednickiego były ucztą dla dusz słowiańskich. Z jakimż smakiem i nostalgią mówił wytworny profesor wiersze Puszkina: „Ach, nożki, nożki, Gdzie wy nynie?”.



Podobnie z lektoratami. Na Stanisławskim — tłumy, przeważnie zresztą na kursie dla początkujących, gdzie pauprzy z radością odkrywali przedziwną łatwość języka angielskiego: „It is eight o'clock. I drink my tea. I get of a bed. I put on my collar and necktie. I play at trumpet. I am welcoming a visitor”. I tak dalej. Jasne jak słońce były te teksty w zeszytach opracowanych przez samego lektora. Język prawie dla dzieci. Któż mógł przypuszczać, że po 17 latach pobytu w Anglii niedaleko się wyjdzie poza ów *collar* i *necktie*? Jedyna może zdobycz, to ta, że nikt w ojczyźnie Szekspira nie mówi już *necktie*, tylko jeszcze prościej: *tie*.

Największym powodzeniem cieszył się lektorat francuski. Przede wszystkim z powodu osoby lektora, jednej z najbardziej

uroczych postaci Krakowa w dwudziestolecu. Słuszny mężczyzna o pięknej galickiej urodzie, ubrany jak z żurnalu, z kwiatem w bu-tonierce, lśniący kulturą i ogłada, tryskał jak gejzer niewyczerpanym i w każdej chwili gotowym do wybuchu humorem. Polszczyznę opanował expedite, ze wszystkimi odcieniami regionalizmów i żargonów, a jako cudzoziemiec miał wyostrzony słuch na jej dźwięki, dziwności, grę słów, kalambury, aliteracje itp. Większość dowcipów Bernard czerpał ze źródła językowego. Mówił np., że się urodził w kale (Calais).

Monsieur Pierre chodził ulicami ze śmiertelną powagą i mi-ną skupioną, gdy jednak spotkał osobę znajomą, budził się nagle jakby z letargu, i pytał: „A to pan zna?”. Wypowiadał dowcip z łacińską zwięzłością i czekał aż rozmówca chwyci puentę. Dopiero potem razem z nim pękał — nie ze śmiechu, z cichego chichotu, aby go nagle zgłuszyć i przystąpić do jeszcze bardziej zabójczego kawału.

Wywieziony z profesorami do Sachsenhausen, powrócił do Krakowa, ale humoru podobno już nigdy nie odzyskał. Wyjechał po wojnie do Francji, ale tam zamiast radości znalazł tęsknotę, i zgasł w wielkim smutku.

Cóż ten człowiek miał za pomysły! Z sześciu zapatek np. układał imię sławnej disease'y KIKI, po czym proponował ułożenie z nich tytułów dwu znanych operetek. Wychodziło to tak: cztery dłuższe patyczki ułożone w romb miały oznaczać „Wesołą wdówkę”, zaś dwa złamane w pół, więc krótsze, „Cnotliwą Zuzannę”. Lecz tu dopiero przypadała puenta. Monsieur Bernard obracał romb w poprzek i mówił z triumfem: „A tak będzie opera”. I po krótkim milczeniu dopowiadał: „Żydówka!”.

Na lektorat włoski pociągała zasię słuchaczy śródziemnomorska piękność, czarna jak aksamit, niska, jakby rodem z Mezzogiorna, a nie z Bergamo, wnuczka pułkownika poległego ochotniczo w powstaniu styczniowym pod Koprzywnicą, a ćmiąca jak komin papierosy, odpalane jeden od drugiego, panna Melzi d'Eril Nelly Nucci.

Znajdował amatorów nawet lektorat nowogrecki, z entuzjazmem i znawstwem prowadzony przez Kazimierza Bulasa. Radio krakowskie nadawało w jego opracowaniu pierwsze w historii audycje w języku nowogreckim. Ba, Japończyk Carr miał coś ze trzech mieszkietarów.

Za to puchy niemal absolutne panowały na lektoratach rosyjskim, ukraińskim, czeskim i słowackim.

Na rosyjski zajrzał czasem po starym sentymencie jakiś kresowiec. Lektorat prowadził staruszek o gołęxim sercu Paweł Wichrow. Posługiwał się wdzięczną metodą ukazywania podobieństw

między polszczyzną a rosyjskim, a zaczynał od wierszyka: „Gdzie ty, pticzka, gdzie ty piwiczka? W dalnym kraju...”. „Po naszymu pticzka — objaśniał — po waszemu ptaszka, po naszymu piwiczka, u was śpiewaczka”. Ale któreś jesieni na drzwiach lectorium pojawiła się karteczka ze słowami pisanymi wyraźnie chwiejną ręką: „Z powodu przeziębienia nie mogę dziś być na zajęciach”. Za tydzień nawet karteczki nie było. Trzeciego tygodnia lektor Wichrow odszedł do „dalnego kraju”. Miejsce jego zajęła dr Maria Dłuska.

Ukraiński lektorat prowadziła dr Zofia Rabiejówna, krępa, pyzata, o grubym lnianym warkoczu, bardzo miła. Słuchaczy miała dwu: Izydora Pastuszyna, który sobie przypomniał dopiero na wyższych studiach, że jest Ukraińcem, i piszącego te słowa. Rabiejówna z polotem ukazywała piękno mowy halickiej na tekstach Szewczenki, Iwana Franki i Markoweczkowej (Marko Wowczak). Ulubionym jej poematem był „Łys Mykyta”:

*Nadijszła wesna prekrasna,
Mnohoćwitna, tepla, jasna,
Mow diwczyna u winku.
Ożyły łuby, dubrowy,
Połno hamoru, rozmowy
I piseń w czaharnyku.*

Aliści raz przy lekturze „Institutki” doszło do niewyraźnej sytuacji. Pastuszyn czyta tekst, nagle się zacina, czerwienieje i milknie jak zakłęty. Więc panna Rabiejówna zwraca się do drugiego słuchacza: „proszu czytaty”. Scena się powtarza: zacięcie, pąsy, grobowe milczenie. Wtedy lektorka spogląda w tekst i w jakże rozumny sposób wybucha śmiechem. Śmieje się teraz do rozpuku cała trójka. Sedno w tym, że w tekście opowiadania jest mowa o spadku, jaki od swej babci dostała „institutka” (pensjonarka). Tym spadkiem była wieś Dąbce. „Babcia Dąbce daje” — brzmiałoby to po polsku. Zdanie to po ukraińsku przez usta polskie w obecności panny Rabiejówny w żaden sposób przejść nie mogło.

Raz na lektorat ukraiński przywędrował kulawy poeta Atamanuk i dobrowolnie wziął w opiekę niefortunnego amatora halyczyny. Po trzech lekcjach rzekł słusznie: „Panie, pański słuch uformowany na kwarcie trąbki, nigdy nie ogarnie bogactwa muzycznego skrzypiec ukraińskich”, czy coś w tym rodzaju, może prozajiczniej. Jedno pewne: podobno Polaka Rosjanie i Ukraińcy rozoznają do dziesiątego pokolenia po „akcencie”.

Wreszcie dwa lektoraty bliźniacze: czeski i słowacki. Na czeskim zbierało się na pierwszej godzinie około dziesięciu słuchaczy,

do końca roku pozostawała trzech do pięciu, ze słowackiego przez trzy okrągłe lata korzystał wyłącznie autor tej gawędy, z tym, że na pierwszych paru godzinach zbierało się zawsze kilku ciekawskich.

Dr Karol Suchy, wysoki, wstydlivy, rumieniący się jak panna, dławił w sobie bez wątpienia potrzeby erotyczne, gdyż na lektury wybierał romantyczne wiersze i nowele, w których dudniła muzyka weselna, perliły się chichoty dziewcząt, rozchodziło się gruchanie i toczyły miłosne dialogi w arcymuzycznej czeszczyźnie. Jeden z takich wierszy (Adolfa Heyduka) zaczynał się od słów:

*Bliž klasztera byl bal,
Siň plala w zarzi.
On v cele hucznou hudbou wyrucen
Skraň k'stolku sklaniel
K'svemu relikvarzi,
A starým srdcem tabl mladi sen.*

Dalej szło o tym, jak to mnich, po śmierci narzeczonej, która kiedyś jako „div balu opoustela hodokvas”, wstąpił do zakonu, przedtem jeszcze otrzymując od jej matki „vlasou prsteneč” i „blantykovou stuhu” oraz jego portrecik „žartem nakrešlony” przez dziewczę, droższy przez całe życie mnichowi (niż wszechni Raffaele).

Inny znów wiersz prawił o pasterce z gór dalmackich. (Pasaczka z pasakem). Krasił gęsto dr Suchy, rozkochany w swojej mowie, lekcje niezrównymi przysłowiami czeskimi w rodzaju: („Petrze, Petrze, ne przepeprzete tohoto veprze!”). Albo („Trzi tisice trzista trzi a trziset strzibnych strzikaczek strzikalo przez trzi tisice trzista trzi o trzicet strzibnych strzech”). Polska młodzież wyłamywała sobie języki na czeskim rz, ani rusz nie mogąc go sobie przyswoić oraz na wyrazach pozornie bez samogłoski w rodzaju: vlk, srn, mlh, vrch, smrt itp.

Słowacki lektorat we dwójkę z tegoż właśnie powodu odbywał się albo w lectorium V, albo, częściej, w mieszkaniu dra Suchego w Woli Justowskiej. Tam to dopiero lektor dawał swobodny upust swoim zdolnościom i tęsknotom. Zamiłowany zbieracz i znawca pieśni ludowych uczył swojego pupila bardziej śpiewać niż mówić po słowacku. Mówić nie było co uczyć: całe obszary Słowaczyny mówiły gwarą polską albo prawie polską (Spisz, Orawa, Czadeckie, okręg Koszyc, część Poważa), a reszta stoi w pół drogi między czeskim a polszczyzną. Ale we dwójkę z panem lektorem mogliśmy już zarabiać na odpustach, tyle że repertuar mieliśmy raczej świecki:

*Ked'som sa zrodila,
Maliczka som bola,
Chlapcy za mnou chodevali
Na mé nožky pozerali,
Ked'som iszla z kostela.*

Albo:

*Kedy prijdesz k'nam,
Ne chodevaj sam,
Zaber z sebou kamarada,
Kerého ja vidim rada,
Cez zaleny haj.*

Biblioteka Polska
Kolo Zurichu SPK

Student, który na początku tej gawędy przyjechał z Tarnowa i z koszykiem na ramieniu sprowadził się do pani Sokołowskiej, wdowy na Krowoderskiej, zapisał się na polonistykę, co mogliśmy już wymiarkować z jego rozmów pod dziekanatem wydziału przed zapisem.

W Collegium Novum odbywały się tylko niektóre wykłady z historii literatury polskiej: Ignacego Chrzanowskiego nieodmienne w „olimpijskiej” sali Kopernika, Stanisława Pigonia w lectorium Długosza lub Kromera i Stanisława Windakiewicza w małym narożnym lectorium (bodajże Rojzjusza na parterze z oknami na ulicę Gołębią).

W tej samej salce wykłady o podstawowych zagadnieniach języków indo-europejskich wygłaszał prof. Jan Michał Rozwadowski. Wykłady jego odbywały się codziennie o godzinie 8 rano, kiedy całe collegium, prócz janitora i pedli, pogrążone było jeszcze we śnie. Profesor przychodził punktualnie z kwadransem akademickim, zawsze w czystym i odprasowanym garniturze ciemnej czekolady, w sztywnym kołnierzyku, bez płaszczka ni zarzutki. Od deszczu chronił się parasolem, od zimna kłębami pary z ust.

Mówił bez skryptów, z małego palca dobywając wszystkich języków europejskich, irańskich i indyjskich. Równie familiarnie czuł się w rodzinie ugro-fińskiej i chińskiej. W wysokiej i wąskiej czaszce, jak w czarodziejskim naczyniu, mieściły się i łączyły w związki: sanskryt, dialekty greckie, etruski, staropruski, litewski, czy gocki, by z tych równań o nieskończonej ilości niewiadomych wyskoczył naraz wyraz polski. Gdy profesor mówił, wszystko było jasne, związki polszczyzny z sanskrytem i mową Dorów

tak oczywiste, że aż dziw, iż przed wykładem Rozwadowskiego słuchacz sam się tego wszystkiego nie domyślił. Mówił przy tym profesor tak powoli, że można było z łatwością każde słowo zapisać, zresztą sam radził, co zapisać, a co nie. Ale bez posłużenia się zapiskami zwykły śmiertelnik ani rusz by nie spamiętał choćby jednego takiego łańcuszka podobieństw.

Jak bliźniaczo do siebie podobne kości szkieletów zwierząt przedpotopowych i dziś żyjących, olbrzymich i maleńkich, łączą się w jeden gatunek prostym rysunkiem Stwórcy, tak te brzmienia z prawieków po nasze dni, od Indusu po Ultima Thule świadczą o wspólnocie myśli i uczuć ludzkiego rodzaju, poczętego z Bożego tchnienia.

Profesor Rozwadowski miał zwyczaj zapadać w nagłe milczenie, z którego powracał nagle nie drogą lingwistyczną, lecz filozoficzną. Mówił wtedy rzeczy zdumiewające, ale pewnie ponad miarę młodych świszczypałek. Wczesna zresztą pora wykładów sprawiała, że na podstawach indoeuropejszczyzny zjawiał się najczęściej — w roku akademickim 567 — jeden jedyny słuchacz. Niezwykły uczony urzekał go zimowymi świtami dreszczy wywołującym misterium wiedzy i hojną garścią sypał diamenty spekulatywnej lingwistyki i filozofii, „tajemnicy życia”. Mówił obrócony profilem, jakby do kogoś jeszcze, nieobecnego w sali wykładowej. I tylko przypadkiem, jakby zdziwiony, dostrzegał, że jednak słucha go ktoś żyjący.

Przeciwnie, Stanisław Windakiewicz, na wykład, wyznaczony na godzinę dogodną, bo 11, zjawiał się o 11,25, ale za to punktualnie, a kończył go dokładnie o 11,50. Jednakże za 25 minut zdołał odczytać ze skryptów niewiarygodną ilość słów. Aby nie znudzić słuchaczy, modulował tę kaskadę słowną w różnych tonacjach, akcentował pewne wyrazy, wypowiadał je nieoczekiwanym tonem pytająco lub wątpiąco, a nad wszystkim rozsznuwał mgiełkę lekceważenia i cichej ironii. Jego drobną twarzączkę pokrywał stale uśmiech, ni to jowialny, ni to sarkastyczny.

Był to odcisk losu. Wybitny ten humanista, koneser renesansu, erudyta głęboki, nie cieszył się uznaniem swojego mistrza Stanisława Tarnowskiego i długo musiał stąpać po kamieniach, jakie mu rzucano pod nogi. Gdy nareszcie po ogłoszeniu kilkunastu wyśmienitych studiów oczy polonistów otwarły się na wielki umysł, było już za późno; Windakiewicz zgorzkniał, zamknął się w sobie, zatrzasnął w czterech ścianach swojej stylowej komnaty, nie widywał ludzi, kpił ze wszystkiego, lekcewał wykłady i seminaria. Wierny pozostał tylko dwu sprawom: każdy dzień zaczynał od Mszy św. na Wawelu, dokąd dreptał pośpiesznie przez Planty, i swojemu renesansowemu światu. Zawsze wytworniutki,

z muszką kolorową, w rękawiczkach, zsuwanych wolno i starannie. Załatwiwszy śpiesznie i byle jak obowiązki uniwersyteckie, zatrząskiwiał się w domu, pracując jak wół, w ogromnym pokoju, gdzie stał tylko masywny stół dębowy na lśniącym wypolerowanej posadzce i kopia „czarnego Chrystusa” królowej Jadwigi z Wawelu.

Nie liczył się z krytyką, uparty w swoich zdaniach. Podejrzewał — i nie bez racji — że studenci z niego pokpiwają. SeminaRIA historii literatury i egzaminy u Windakiewicza uchodziły za błahostkę. Profesor o tym dobrze wiedział, ale go nigdy nie zebrała ochota, by tę opinię rozwiać. Pytania stawiał szablonowe i wprost dziecinne. Gdy student próbował nieco głębiej, przerywał: „Nie tak uczenie, nie tak uczenie!”. Filistrzy obliczyli, że Windakiewicz stawia 18 pytań na zmianę. Jedno z nich brzmiało: „Co to jest Pan Tadeusz?”. Należało odpowiedzieć: „Historia niedokończono-go sądu podkomorskiego”.

Kiedy raz profesor Pigoń namówił zarząd Koła Polonistów żeby z racji jakiejś rocznicy złożyć życzenia Stanisławowi Windakiewiczowi, przyjął on zaskoczony delegację, śpiesznie zmieniając pidżamę na marynarkę z ozdobnym motylkiem, a gdy dostał wiązanek róż, najpierw je policzył, a potem długo nie wiedział, co z nim zrobić, powtarzając kilkakrotnie: „A to co? Róże, jakie piękne róże!”. Na koniec lekko mu zawilgły oczy i zgasiwszy zwykły uśmieszek rzekł poważnie: „Drodzy państwo, nie macie ze mnie wielkiego pożytku, bo ja żyję w bardzo dawnych czasach, ale tym więcej cenię to, żeście tu do mnie przyszli”. Ilekroć też na sali wykładowej znalazło się więcej słuchaczy, prof. Windakiewicz, niby to nie zwracając uwagi, promieniał jednak wewnątrz.

W dogodnych godzinach wieczornych wykładał w sali Kopernika Ignacy Chrzanowski. Lectorium było wybite do ostatniego miejsca, bo prócz studentów na wykłady przychodziło wiele osób z miasta. Jako mówca dzierżył prym wśród wykładowców U.J. od początku swoich wykładów w Krakowie, więc od roku 1910. Przyleciał na skrzydłach sławy z Warszawy, siostrzeniec i ulubieniec Sienkiewicza, przyjaciel i powiernik wielu wybitnych osobistości politycznych, przede wszystkim Romana Dmowskiego, oraz znakomitości naukowych i literackich, wychowawca kilku pokoleń polonistów. Niektórzy z uczniów z czasem zostali kolegami Chrzanowskiego na U.J., jak Pigoń i Folkierski. „Historia literatury niepodległej Polski”, największe dzieło życia autora, w dwu wersjach akademickiej i szkolnej (skróconej), odegrało w dwudziestoleciu odbudowanej niepodległości rolę biblii narodowej

młodzieży polskiej, almanachu wiedzy o naszej przeszłości literackiej, katechizmu patriotycznego i dykcjonarza kultury narodowej.

Chrzanowski nie improwizował. Wykładał zawsze w oparciu o skrypty, ale tak, jakby do nich wcale nie zaglądał. Widać tylko było, jak za pulpitem obraca kartki. Wysoki, prosty, urodziwy, z lśniąca srebrną grzywą, zwrócony bokiem do audytorium, prawą ręką nieznacznie wsparty o biodro, a lewą łagodnie i miękko gestykulujący, znał świetnie sztukę słowa i muzykę głosu, dozując bogate rejestry wzniosłości, smutku, żalu, rozpacz, tkliwości, gniewu i patosu. Mistrz syntezy, swoje jasne myśli gęsto ilustrował przytoczeniami. Wykłady profesora miały coś z nabożeństwa. Posługiwał się on, jakby liturgią, pewnymi podstawowymi powiedzeniami i obyczajami oratorskimi. Nigdy nie mówił w pierwszej osobie, lecz zawsze albo „mówiliśmy już” lub „jak się już powiedziało”. Pewnych powiedzeń nie znosił i tępił je u studentów. Gdy kto rzekł: „właściwie”, zwykł zaraz pytać: „no, a jak niewłaściwie?”. Nie znosił też wahań w rodzaju: „ściślej biorąc”, „jako taki”, czy „i tak i nie”, w takich razach natychmiast pomagając się: „proszę się zdecydować”.

Nie był wszak Chrzanowski celebrantem, owszem, przepadał za żartem i dowcipem. Uzbierał swoje wykłady w satyrę i sarkazm. Nie szczędził i studenterii ostrych docinków, choć jako egzaminator miał serce gołębie. I on miał zasób „koników”, jakie wypadało przepowiedzieć sobie, by mieć odpowiedzi w czasie egzaminu. Przeważnie były to objaśnienia tekstów staropolskich, jakie należało rozwiązywać niczym szarady. Np., co znaczy:

Święty Marcin liczy dusze, Biblioteka Polska
Alić Masia z gęsią kłusze. Kolo Zurych SPK

Przypadało czasem profesorowi egzaminować cudzoziemców skróconym trybem z historii literatury i zarazem języka. Wił się wtedy biedny Chrzanowski jak piskorz i regularnie z zakresu grammatyki zadawał to samo, z jakiegoś widać staroświeckiego podręcznika, pytanie: „Jaka jest różnica między parataksą a syntaksą?” Nigdy na nie nie otrzymawszy odpowiedzi, szybko uchodził z pola powiadając: „No, mniejsza o to”. I wracał do historii literatury.

Jak większość ówczesnych profesorów, był Ignacy Chrzanowski najlepszym przewodnikiem i przyjacielem młodzieży. Gdy tylko dostrzegł iskierkę głębszego zainteresowania w młodej duszyczce, zaraz brał ją w opiekę, zapraszał do siebie, rozmawiał, pożyczał książki, zachęcał, zamawiał artykuły do czasopism. I nie raz do mniej zamożnych uczniów przychodziły tajemnicze przekazy pieniężne od „Jana Ciechanowieckiego” z takim adresem

nadawcy, jakiego poczta próżno szukała w Krakowie. A były to zwykłe kwoty poważne.

Wtajemniczenie następowało z chwilą zaproszenia na godzinę przyjęć do mieszkania profesora: we wtorki od 3-4. W Domu Profesorów na rogu ulic Łobzowskiej i alei Krasińskiego. Dom był biały z pasemkami czarnych kafelków. Profesor mówił o nim, że tak bardzo przypomina grobowiec, iż co pobożniejsze niewiasty przechodząc mimo żegnają się i mówią „Wieczne odpoczywanie”.

Przyjmując gości w dom, profesor szczegółowo wypytywał o zainteresowania, prace, położenie materialne i rodzinne studenta itd. Nie trzeba dodawać, że miał niezliczony rój wielbicielek, ale preferował zdolnych studentów. Wybrańców przetrzymywał poza godzinę i niekiedy na stół wchodziła srebrna taca z herbatą i smaczkowitym ciastem domowej roboty pani Chrzanowskiej. Pani roz-taczała czujny dozór nad małżonkiem, cierpiącym od lat na bez-senność. Kiedy się więc zdarzyło, że poobiednia drzemka profesora przechodziła wyjątkowo w sen, wówczas drzwi od sionki pozostawały uchylone, aby dzwonki nie zbudziły męża, pani zaś czu-wała, by odmówić tego dnia gości. Wypuszczał profesor z domu wybranych studentów z książkami swojego autorstwa i dedykowa-nymi, a także z naręczami ksiąg innych autorów, dedykowanymi Ignacemu Chrzanowskiemu. Tym sposobem autor tej gawędy otrzymał zbiorowe wydanie dzieł Berenta (profesor miał dublet), „Jarmark rymów” Tuwima ze strzelistym homagium i „Literaturę grecką” (z uwagą ustną: „czytałem lepsze” i dodatkiem: „tylko niech pan nie pokazuje Since, bo by mnie zabił”).

Profesor rozdawał hojnie książki, bo się już nie mieściły w jego obszernych pokojach. Zachowywał tylko tomy najcenniejsze i wszystkie prace, nawet odbitki, swoich wychowanków. Wśród książek profesora znajdował się egzemplarz „Diadów części III” z dedykacją autora dla „błękitnej Maryli”. Po zajęciu Domu Profesora Niemcy wyrzucili ten księgozbiór na ulicę.

Przechowywał także Chrzanowski ogromne archiwum listów, wśród nich korespondencję z Dmowskim. Przyjaciele pisywali do siebie co tydzień. Chrzanowski stylistycznie szlifował i adiustował do druku wszystkie pisma Dmowskiego. Na odwrotnej stronie rękopisu „Polityki polskiej i odbudowania państwa” pisał Chrza-nowski drugi tom „Historii literatury polskiej” (porozbiorowej), którego już nie ukończył, przerywając pracę dosłownie w pół zda-nia.

Pamięć jego była kopalnią wspomnień i anegdot, które zamierzał kiedyś spisać w pamiętnik. Od lat namawiał go Wincenty Lutosławski na to, by mu podyktował te wspomnienia, a on je spisze. Ale Chrzan był uparty, w tym wypadku i słusznie. „Dow-

cipny — mówił o sławnym znawcy Platona — ja mu mam dyktować książkę, a on jej da autora”. Opowiadał profesor takie rzeczy, jak o wizycie Wyspiańskiego u Lutosławskich, gdzie razu pewnego poeta przez dwie godziny słuchał Dmowskiego, sam słowa nie rzekłszy, a potem wiele tych myśli włożył w usta Konrada w „Wyzwoleniu”. Wspominał, jak Sienkiewicz w „Grandzie” krakowskim jadał na pierwsze śniadanie jajecznicę z dziecięciu jaj. Zapytany raz przez kuzyna, co uważa za najtrudniejsze w pisaniu, odrzekł: „prostotę stylu”. Kasprowicz kiedyś trzymał profesora przy kieliszku do białego rana w restauracji dworcowej w Krakowie, ale już raniutko, trzeźwy, przyszedł go przeprosić. Snuł Chrzan jadownicze dykteryjki o wielkościach, zza kulisy polityki i literatury, wiele wiedział nawet o alkowach. Ale dobroć była dominantą jego charakteru. Topór reformy jędrzejewiczowskiej obciął, naturalnie, katedrę sztandarowego narodowca Chrzanowskiego, mimo to profesor zawsze mówił: „to jednak zdolna bestia”. Kiedy po zemerytowaniu profesora uniwersytet zlecił mu prowadzenie dalszych wykładów, sala Kopernika pękała od natłoku słuchaczy. Na katedrze leżała wiązanka róż. Gdy Chrzanowski wszedł, rozległy się huczne brawa. Grymas wykrzywił usta profesora i zaraz powiedział: „Proszę państwa, brawo bije się w cyrku, a nie w sali wykładowej. Za róże pięknie dziękuję, co się zaś tyczy mojej emerytury, okazało się, że jestem figurą, do której łatwo się przyczepić, ale od której trudno się odczepić”. I zaczął normalny wykład.

Sypał dowcipami, niekiedy wcale tłustymi. Szliśmy Błoniami. Profesor pyta: „Wie pan, co w staropolszczyźnie znaczyło kiep? Nie otrzymawszy odpowiedzi dobitnie rzekł: „D...” i powtórzył grube słowo dwukrotnie. A właśnie przechodziła jakaś dama. Chrzan, niezbity z pantałyku, zdjął szarmancko kapelusze i rzekł: „Bardzo panią przepraszam”. „A kobieta, jak pan wie — ciągnął — znaczyło pierwotnie baba od chlewu”.

Aliści płeć słabą miał rad bardzo. Mniej mu tylko odpowiadały szpetniejsze jej przedstawicielki. O żonie jednego z młodych wówczas polonistów, dziś krzykliwego profesora, mówił: „Zdolna bardzo, ale brzydka jak noc”.

Wyobraźmy sobie teraz tego ulubieńca losu, kochanka sławy, ludzi wielkich i gromad młodzieży, pochłoniętego w ciągłej pracy, a cierpiącego na bezsenność i wykazującego niepokój z powodu chylącego się wieku, na przycy i placu apelowym wśród ludzkich bestii. Już z pogrzebu Aleksandra Bruecknera wracał Chrzanowski wiosną roku 1939 przygnębiony, że mu nie pozwolono nad grobem pożegnać choćby w kilku słowach starego przy-

jaciela. Wśród tych, których obóz złamał na śmierć, jednym z pierwszych był Ignacy Chrzanowski.

Trzymał się on najchętniej granic historii literatury Polski przedrozbiorowej, pozostawiając jej ciąg dalszy, od romantyzmu po „Młodą Polskę”, swojemu najwybitniejszemu uczniowi i następcy na katedrze po roku 1933 Stanisławowi Pigionowi. Dalsza linia podziału między Pigionem a Stefanem Kołaczkowskim przechodziła mniej więcej przez „Młodą Polskę”, z tym, że Kasprowicz i Wyspiański pozostawali po stronie Kołaczkowskiego, zaś Orkan i Żeromski po stronie Pigionia.

Pigoń wziął zatem po Chrzanowskim ster polonistyki krakowskiej w zakresie historii literatury. Mimo ogromnej wiedzy, nieomylnego zmysłu oceny i daru jasnej syntezy, był Chrzanowski ostatnim, stąd najdojrzalszym owocem XIX-wiekowej filologii. Od Pigionia zaczynała się filologia nowoczesna. Polonistykę podniósł on do rangi nauki systematycznej i ścisłej, opartej na podwalinach szeregu rzetelnych dyscyplin. Nie miała ta metoda, oczywiście, nic wspólnego z tradycyjnymi badaniami genetycznymi, wpływologicznymi, poszukiwaniem wątków etc. Polonista ze szkoły Pigionia musiał na proseminarium oraz na seminariach niższym i wyższym historii literatury opanować wiedzę o bibliografii i umiejętność posługiwania się dziełami z tego zakresu, umieć czytać teksty stare i nowe, pierwsze wydania i rękopisy, weryfikować je, kolacjonować, oglądać krytycznie, dostrzegać w tekstach i manuskryptach każdy przecinek i znak diakrytyczny, odróżniać cechy archaiczne, regionalne i gwarowe języka, posługiwać się biegle aparaturą filologiczną, aż do znawstwa papieru, druku, znaków wodnych, odczytywania palimpsestów, skreśleń, gloss, korekt, omyłek drukarskich, nurkować po czasopiśmie, śledzić motywy i pomysły literackie na terenie piśmiennictwa własnego i obcego, odtwarzać z rękopisów i listów zamysły i rozrastanie się kompozycji oraz rozkwitanie stylu: polonista wyszkolony przez Pigionia wychodził obkuty nie tylko w „wieszczach”, ale przede wszystkim w drobnicy pisarskiej, w różnych Odyńcach, Magnuszewskich, Zanach, Gaszyńskich, i bardziej niż stawiać patetyczne i retoryczne cenzurki, winien był znać, rozumieć i umieć czytać tekst oraz słowem roboczym określić jego walory. Stylistyka i poetyka u Pigionia opierały się na szerokiej i dobrze sprecyzowanej wiedzy. W oczach profesora nic nie znaczyły zachwyty, uniesienia, impresje, ze szkół średnich przyniesione emocje. Toteż z jednej strony lingwiści, a z drugiej Stanisław Pigoń jak archaniołowie z mieczami ognistymi stali u wrót polonistyki odpędzając tych, którym się zdawało, że jest to przedmiot rozkoszowania się literaturą.

Bynajmniej jednak Pigoń nie traktował sam literatury sucho ani nie hamował żadnych prób patrzenia nowymi oczami na nią lub mówienia o niej „nowymi ustami”. Seminarium wyższe u Pigoń bywały sympozjonami tematyki obranej przez słuchaczy. Profesor sam w takich razach ograniczał się do roli przewodniczącego, pozwalając młodzieży polonistycznej na pełną swobodę wyrażania swoich poglądów. Na tych seminariach bardziej owocnie kształtowały się poglądy na twórczość literacką niż na dyskusyjnych zebraniach literackich, z natury rzeczy demagogicznych i wiecowych. Do poszczególnych batalii stawały po stronie referenta lub koreferenta całe zespoły, a ciekawość sprowadzała na ulicę Gołębią studentów z innych wydziałów, a nawet osoby spoza uczelni.

Pamiętam dwie zajadłe i długotrwałe polemiki seminaryjne, dwie prawie iliady polonistyczne: o poezję awangardową i o „literaturę narodową”. W pierwszej na mury tradycji nacierała głównie lewica (tak się złożyło, że awangarda krakowska orientowała się lewicowo), w drugiej szturm na awangardę, powiększoną o spory obszar twórczości dwudziestolecia, wykonała młodzież narodowa.

Bo w owych czasach nie było spraw obojętnych. Naukę uznawało się powszechnie za wartość nadrzędną i nietykalną, ale spory ideowy toczyły się o cel i charakter nauk humanistycznych. Stąd na seminariach Pigoń widywało się w tylnych ławach (rzecz jasna, bez prawa głosu) Leona Kruczkowskiego, Piwowara, Polewkę, Cyrankiewicza i in., nie mówiąc, ma się rozumieć o starszych polonistach, których sprowadziła ciekawość, co też mówią młodzi o parę lat od nich. W owych homeryckich potyczkach seminaryjnych na czoło wysuwali się August Grodzicki, Maksymilian Boruchowicz, Zdzisław Hierowski.

Przy swoim poważnym, gospodarskim traktowaniu wiedzy o literaturze Stanisław Pigoń czytając teksty niemal płonął do granic ekstazy, a głosząc wykłady szukał stosownych słów jakby robił młotem. Czasem w jego mowie słychać było jak na dnie górskiego potoku huk toczących się spodem nurtu kamieni. Tak się przejawiało u profesora zmaganie słowa z myślą. Barczysty, krzepki, o urodziwej po chłopsku twarzy, o rysach wyrazistych i modrych oczach, cery jasnej, lśniącej i przejrzystej, ze starannie wygoloną głową, zarumienioną razem z licami, kiedy się borykał nad znalezieniem właściwego wyrazu myśli, przypominał Pigoń w dziwny sposób ludowego świątka. Z katedry schodził ciężko spracowany.

Człowiek kryształowej uczciwości i dobroci, ewangelicznej skromności i niewysuwania się przed innych, zawsze na usługi młodzieży, nie umęczony tysiącem jej pytań, skrupułów, wywnę-

trzeń, potrzeb. Poza katedrą historii literatury, ogromną ilością własnych prac naukowych i edytorskich (bo, jak mawiał, nie znosił próżniactwa), miał w swej opiece bursę studencką przy ulicy Garbarskiej 7, kuratorował Bratniej Pomocy w ostatnich latach przed wojną i kilku innym kołom naukowym i prowincjonalnym, ze swoimi Jaślanami, rzecz oczywista, na czele. Nie zmarnował chyba ani jednej minuty w życiu (jeśli nie liczyć obecności na zebraniach studenckich). Nie cofnął się nigdy przed prośbą, skory do pomocy i rady, cierpliwy i pokorny, twardy i wierny, a przy tym jak mało kto bezstronny i odważny.

Krocząc po ubitej ziemi faktów w nauce, pisał własnym uroczym stylem, który by można określić jako esencję historycznej polszczyzny literackiej. Wielbiciel Mickiewicza, szukając w epoce współczesnej i u potomności każdego ziarnka piasku jego dzieła i myśli, każdego najdrobniejszego pogłosu, oraz korzonków rodowodu, wgłębił się jak nikt przed nim i nikt po nim w okres romantyzmu, jego przedświtu i zachodu, ale ogłosiwszy mnóstwo prac o Mickiewiczu, olśnił niespodzianie naukę pomnikową edycją Fredry, potem pismami zbiorowymi Orkana i monografią o nim, na koniec pełną edycją Żeromskiego. A na marginesie tych wielkich dzieł opracował antologię pisarzy ludowych i autobiografię albo raczej monografię swojej wsi rodzinnej i jej ludzi „Z Komborni w świat”, a także dziesiątki studiów i szkiców polonistycznych.

Ignacy Chrzanowski lubił sobie dobierać towarzyszy na spacer. Najczęściej widywało się go z Pigońcem pod rękę. Pigoń prowadził profesora kornie, ze schyloną głową, zatroskany o każdy jego krok i wsłuchany w każde słowo. Chrzanowski miał ogromną uciechę zadając Pigońcowi pytania z historii literatury, jakie sobie prawdopodobnie na tę okoliczność przygotował. Pigoń odpowiadał na wszystkie tak dokładnie, że Chrzanowski przystawał ze zdumienia i nieraz powtarzał: „o tym słyszę doprawdy po raz pierwszy”.

Stefan Kołaczkowski był całkiem inny. Nie przywiązywał żadnej wagi do naukowej filologii, przynajmniej w odniesieniu do studentów, a jego namiętne boje o reformę studiów polonistycznych to zajadła walka z lingwistyką. Kołaczkowskiego rozpałały nowoczesne prądy intelektualne i estetyczne, których był znawcą niezrównanym. Ale rozpaloną wyobraźnią chciał wyprodukować podobnych do siebie estetów i myślicieli, rzucając ciężkie, lecz trudne ziarno pszeniczne na głuchą opokę. Ani wykłady ani seminaria Kołaczkowskiego nie cieszyły się zbytnim powodzeniem. Mówił bez polotu, trudno, nie kończył zdań, umykając w niekończące się dygresje, śmiejąc się z własnych żartów, których puent

słuchacze nie odgadywali, podkreślając piękno niedostrzegalne dla pospolitych oczu, lekceważąc wszelkie ustalone opinie, a wynosząc nowe wartości, jeszcze nie okrzepłe. Miał Kołaczkowski, redaktor miesięcznika „Marchoń”, doskonały smak nowości literackiej i nie znosił farbowanych modernistów. Nie cierpiał blagi, bezmyślności, awangardy. Uczulony był natomiast na walory etyczne.

Próbowały się wokół niego skupiać elementy „buntownicze”, obrażone na przeszłość literacką, skłócone z rzeczywistością, poszukiwacze „nowych form”, nie mający nic nowego do powiedzenia. Profesor okazywał im pogardę, a dotknięty nie przebierał w słowach.

Adoratorką Kołaczkowskiego była przedziwna osoba, oryginalnej urody, lecz jakby tłumiąca w sobie samą myśl o kobiecości i tym ostrzej kierująca żądła swych żądz ku oryginalności estetyczno-krytycznej. Nie mogła wszakże znaleźć wspólnego języka z profesorem. Była chyba od urodzenia komunistką, wprost pasjonalnie nienawidzącą wyznawców innych idei. Nazwisko Janiny Pregerówny od roku 1945 nie schodzi z łamów prasy komunistycznej w Polsce, doskonale pokazując, dlaczego nie znajdowała ona wspólnego języka z Kołaczkowskim i innymi.

Stefan Kołaczkowski był od urodzenia kaleką: kulał. W naturę weszła mu ta ułomność, łabatość, niezgrabność, wieczne zawahanie i niedopowiedzenie. Mówił nużąco, jednostajnie, bez puent i przystanków. Nie miał miary czasu. Słyszał z ciężkich dowcipów. Pewien student miał zreferować na seminarium jakieś dzieło Tatkiewicza, ale nie przeczytał całego. Kołacz określił ten referat jako „Tatkiewicz z obgryzionym uchem”. To znów zdolny Stefan Duba musiał odstępować w czasie studiów wojsko, a był krótkowidzem. Pewnego dnia Kołacz ni stąd ni zowąd oznajmił studentom: „Duba strzela na oślep”. Któż by powątpiewał?

Pisał Kołaczkowski całkiem inaczej niż mówił: jasno, przekonująco, z wzorową kompozycją. Była to w Polsce dwudziestolecia jedna z najczulszych anten na prąd kultury światowej. Prawdopodobnie nikt lepiej od niego nie rozumiał Stanisława Brzozowskiego. W ogóle Kołaczkowski wyssał jak pszczoła wszystkie miody myśli polskiej na przełomie XIX i XX wieku, m.in. Abramowskiego i Krzywickiego. Znał na wylot twórczość Sorela i Kierkegaarda, zapalał żaków do Verhaerena. Tę subtelną a delikatną roślinę zakatowano w obozie niemieckim, zanim wyrzuciła z siebie ostateczny kwiat twórczości.

Chrzanowski i Pigoń sposobili swoich najzdolniejszych studentów na krytyków i historyków literatury, Kołaczkowski mógłby inspirować pisarzy, ale się nie doczekał wychowanków. Wniósł wszakże do formacji umysłowej młodych polonistów krakow-

skich wyraźny ferment. Znać ten wpływ najwyraźniej na Kazimierzu Wyce, chociaż Wyka zaczął studia już jako uformowana umysłowość.



O wiele liczniejsze potomstwo naukowe mieli lingwiści krakowscy włączając w ich liczbę Wiktora Weintrauba, wychowanka zarazem Chrzanowskiego i Nitscha. Jeśli chodzi o historyków literatury, to poza Weintraubem i Wyką, w ciągu dziesięciolecia wyszło z Uniwersytetu Jagiellońskiego już bardzo niewielu filologów: Mieczysława Romankówna, Sierotwiński, Zygmunt Markiewicz, Jan Wępsięć, Ulewicz, jeszcze kilku przyczynkarzy.

Rzecz znamienna, że pisarze o mniej lub więcej głośnych w przyszłości nazwiskach nie wyróżniali się zgoła jako poloniści. A wszak studiowało ich w Krakowie nie byle jakie grono: Czuchnowski i Skuza, Piętaś, Suski i Fierla, Żukrowski i Pankowski oraz spora ilość lewicowych prozaików i poetów minorum gentium.

Historia literatury polskiej, jak się już rzekło, tkwiła jeszcze trochę w XIX wieku, w świetnych tradycjach Stanisława Tarnowskiego, Antoniego Małeckiego, Romana Pilata, Józefa Kallenbacha, a Windakiewicz i Chrzanowski zaczęli swoją drogę naukową przed pierwszą wojną światową. Językoznawstwo było już natomiast pod koniec XIX stulecia nagięte ku przyszłości i nowym wzorom. Nowoczesna lingwistyka, szkoła nowogramatyków, zaczęła się właśnie pod koniec ubiegłego stulecia i w Krakowie znalazła uczonych, którzy od razu stanęli w awangardzie europejskiego językoznawstwa: Lucjan Malinowski, Jan Baudouin de Courtenay, Jan Łoś, Jan Michał Rozwadowski i Kazimierz Nitsch stworzyli niemal z niczego językoznawstwo polskie: gramatykę historyczną polszczyzny, porównawczą, opisową i dialektologię, obejmując swoimi badaniami wszystkie języki słowiańskie, żywe, i umarłe, odkrywając prawa historycznych przemian w głosowni, odmienni, słowotwórstwie, iloczasiu i akcencie. Baudouin i Rozwadowski ponadto wnieśli sporo światła do wiedzy o wspólnocie indoeuropejskiej.

W latach akademickich pięćset sześćdziesiątych i siedemdziesiątych wykładał jeszcze Rozwadowski, a Kazimierz Nitsch znajdował się w pełni sił twórczych. Szkoła krakowska rzucała nadal nieprzycmiony blask na Polskę i Słowiańszczyznę. Nitsch ze sporym gronem wychowanków kończył wielkie dzieło pełnego obrazu gwar polskich i pogranicznych, opracowując atlas gwar i ich monografie. Ze szkoły jego wyszedł zastęp badaczy, którzy wy-

nieśli lingwistykę polską do rangi nauki ściślej: Mieczysław Małecki, Wiktor Stieber, Henryk Oesterreicher, Tadeusz Milewski, Maria Dłuska, Antonina Obrębska, Stefan Kuraszkiwicz, Stanisław Urbańczyk, Wiktor Węglarz, Franciszek Sławski.

Ich działalność naukowa toczyła się po wielu torach równocześnie. Małecki roztaczał pieczę nad gwarami i słowianoznawstwem, Oesterreicher gospodarował głównie materiałem do słownika staropolskiego, zapoczątkowanego przez Łosia, a obecnie nareszcie ukazującego się drukiem pod redakcją główną Urbańczyka, Stieber i Kuraszkiwicz penetrowali sławistykę, Milewski wnikał głęboko w językoznawstwo ogólne i filozofię języka, Dłuska szykowała się do usystematyzowania wersyfikacji polskiej, Węglarz i Sławski odkrywali nieznane lądy etymologii.

Obok wymienionych protagonistów językoznawstwa, lingwistyka polska skupiała liczne grono skromniejszych badaczy, studentów polskich i obcych oraz polonistów szkół średnich krakowskich i prowincjonalnych, zrzeszonych w Towarzystwie Przyjaciół Języka Polskiego i ogłaszających prace w „Języku Polskim”. Profesor Nitsch i jego szkoła dążyli bowiem usilnie do tego, by nie odrywać językoznawstwa jako nauki od życia i w miarę możliwości zagadnienia jej popularyzować. Nitsch, mimo potężnych dzieł, był wzorowym pedagogiem.

Ale, prócz niego, miała lingwistyka krakowska jeszcze dwu innych profesorów, różniących się od Nitscha metodami i zainteresowaniami, choć także jego wychowanków. Jednym był Tadeusz Lehr Sławski, pierwszy naówczas, a i dziś jeszcze polski sławista, głowa szeroko otwarta na najtrudniejsze i najbardziej złożone zjawiska na językowym obszarze słowiańskim. Lehr miał w małym palcu starocerkiewnośłowiański i połabszczyznę, oba łuzyckie i staroczeski; gramatyki języków słowiańskich opracowywał do druku w parę tygodni, ciągle wydawał jakieś gigantyczne słowniki, księgi zbiorowe, monografie popularne, redagował „Slavia Occidentalis” i rozprawy dla kilku akademii w świecie, miał niespożyte siły i niewyczerpany zapas wiedzy, a przy tym gołębią dobroduszość i zamiłowanie do gawędziarstwa i faccji. Obca mu była zazdrość, w gniew wpadał nierychło. I sposób mówienia i sprawiedliwa tusza sprawiały, że Lehr zaliczał się do osób, o których się mawia „ciepłe piwo”. Do niego głównie ściągali studenci słowiańscy, aby zaraz potem wpadać pod urok Nitscha.

A studiowało ich w Krakowie niemało: potężny jak tur Bułgar Lubomir Andrejczyn, Słoweniec Stanko Bunc, paru Chorwatów i Serbów, grono Słowaków i Litwinów, kilku Węgrów, nawet Duńczyk.

Inaczej niż Nitsch, Lehr egzaminował spokojnie, stawiał oceny o wiele lepsze, perswadował, znajdował wyrozumienie, wciągał studentów do prac naukowych, uzyskiwał dla nich honoraria. Nosił przydomek „ojczulka”.

Zenon Klemensiewicz, pedagog z gimnazjum Sobieskiego i początkowo profesor nadzwyczajny U.J., elegancki pan o pięknych manierach, znawstwo gramatyki opisowej współczesnej polszczyzny łączył harmonijnie z kulturą i ogładą osobistą, ład myśli z ładem powierzchowności. Jego gwiazda przy Nitschu nie mogła rozbłysnąć pełnym blaskiem, lecz po śmierci Nitscha Klemensiewicz przejął ster lingwistyki krakowskiej i polskiej.

Od dawna toczył się spór o cele, zakres i metodę polonistyki językoznawczej między Krakowem i Warszawą. Za Krakowem stał Lwów i Poznań, Wilno raczej sprzyjało Warszawie. Profesorowie warszawscy Szober i Doroszewski reprezentowali kierunek normatywny, tzw. „poprawnościowy”, dążąc do kodyfikacji wzorowej polszczyzny. Nitsch i szkoła krakowska stali twardo na gruncie fenomenologii języka, jego praw naturalnych i spontanicznego rozwoju, niezależnego od wszelkich formuł i przepisów. Krakowianie uważali za wręcz niegodne nauki wszelkie „słowniki poprawnej polszczyzny”, poradnie i poradniki językowe, kodeksy, a w szczególności przykładanie do wszystkich nurtów polszczyzny probierza i szablonu języka stołecznego i jego pierwszeństwa przed starszymi, dojrzałszymi i bujniejszymi odmianami regionalnymi, i to prawie że w trybie administracyjnym, tak mniej więcej jak się narzuca kodeksy prawne. „Poprawiacze” warszawscy nie wnosili do wiedzy o polszczyźnie nic nowego, ale niechęć przyczynili się do uświadomienia sobie przez językoznawców znacznych różnic regionalnych w obrębie polszczyzny, zwłaszcza między Krakowem a Warszawą. Dość paradoksalnie szkoła stołeczna reprezentowała ducha prowincjonalizmu w filologii polskiej, a krakowska nieprzedawnioną stołeczność. Krakowianie nie zastanawiali się, jak trzeba mówić, lecz pilnie słuchali, jak się rzeczywiście mówi. Różnica w traktowaniu zagadnień językowych była tu taka jak między łańcińskimi pojęciami dyrektora i ministra.

Otóż Zenon Klemensiewicz nosił w sobie dostojeństwo niepisanej godności pierwszego strażnika tajnej pieczęci polszczyzny. Pilnował i pilnuje, aby nikt jej sobie, nawet w imię wysokich ideałów, nie przywłaszczał, jako własności całego narodu.

Gniazdo polonistyki mieściło się w collegium przy ulicy Gołębiej 20, na I piętrze. Językoznawcy prawie nie wychodzili poza te progi, literaci miewali wykłady w Collegium Novum. Ale se-

minaria, a tym bardziej egzaminy odbywały się z reguły w gnieździe macierzystym.

Ton mu nadawał, ma się rozumieć, Kazimierz Nitsch, z głową pochyloną jakby do ataku, z capią bródką, za grubymi szkłami, prychnący z niecierpliwości, mówiący szybko głosem wysokim a równocześnie gardłowym. W jego stosunku do ludzi (na terenie oficjalnym) dominowała ironia i szydercze moralizatorstwo. Ale ten ton dość napastliwy, przy powierzchowności nieco marchówkowej, wystawiał profesora na śmieszność i studenckie psie figle. Ponieważ Nitsch zaczął rolę pedagoga od szkoły średniej, wydaje się, że tam się ukształtowały jego maniery i wieczne udry z pauprami.

Bo prywatnie był to człowiek niesłychanie gościnnie i subtelny, o bogatej kulturze uczuciowej i staroświeckiej galanterii, z tym tylko, że do głosu nie zwykł dopuszczać rozmówców ani poza domem ani u siebie. Raz do roku prosił słuchaczy wyższego seminarium językowego do siebie na Gontynę, skąd po dobrym podwieczorku studentki wychodziły z naręczami bzu, a studenci z obrzękłymi nosami, które dłonią podbijała pani Nitschowa (świetna pisarka Aniela Gruszecka), zniecierpliwiona próbami całowania jej w rękę, czego nie znosiła.

Nitsch nie przebierał w słowach. Studentom obrywało się szczerze od idiotów, matolek, „głów wybitnie antynaukowych”, niechlujów itp. „Wyjątkowy zespół idiotów” — to była normalna sentencja Nitscha w czasie egzaminów, ze zwykłym dodatkiem: „ale pan(i) to już bryluje”. Trzeba przyznać sprawiedliwie, że do panienek miał profesor pewną słabość, mówiąc czasem: „ta osoba, choć nic nie umie, wygląda wcale, ale to wcale inteligentnie”.

Z odpowiedzi Nitsch bywał chyba jakimś niezwykle trafem zadowolony, przeważnie kwitując je słowy: „a to coś straszego”. Właściwie nawet się nie bardzo spodziewał trafnej odpowiedzi, przebiegając palcem wskazującym po twarzach słuchaczy w locie błyskawicy: „pan, pan, pan, pani, pan”. Jeśli kto próbował coś wystękać, przerywał: „już by pan lepiej powiedział: okno otwarte”. To znów dziwił się bez obsłonek: „czego pan przewraca tymi głupio wybałuszonymi ślepiami?”. Strach było odpowiedzieć na pytanie profesora: „gdzie pan kończył gimnazjum?”. Gdyż bez względu na to, czy był to Tarnów, czy Chrzanów, czy Mielec, Nitsch stwierdzał: „to się od razu rzuca w oczy”.

Kiedyś wywiesił profesor zawiadomienie następującej treści: „Osoby, co chcą здаwać egzamin, zgłoszą się” itd. Jakaś anonimowa ręka przekreśliła wyraz „co”, wpisując na to miejsce

„które”. Zdyszany Nitsch wpadł jak bomba na salę wykładową i zaczął prychnąć: „Jakiś tchórz, bo panie są na to zbyt nieśmiałe, poprawił zawiadomienie o egzaminach. Ten idiota nie czytał wiadać Pana Tadeusza, zaczynającego się od słów: 'O Panno Święta, co Jasnej bronisz Częstochowy...'”.

Nitscha bali się jak ognia nie tylko studenci. Raz przybył na Gołębią profesor Klich z Poznania i zanim się przedstawił, zdołał się jakoś narazić, tak że Nitsch rąbnął mu prosto w oczy: „to pana charakteryzuje”. Rozstawiał po kątach asystentów, docentów i kolegów, o dziełach Aleksandra Brücknera mawiał, że to „fura śmieci, w których można przypadkiem znaleźć rzeczy wartościowe”, o większości historyków literatury wyrażał się „humoryści”, nie znosił dziennikarzy, a nawet nie uszanował Chrzanowskiego: „Ignasiu, nie mów mi, że to wszystko nauka”.

Miał prawo do sądenia ludzi. Polszczyznę znał na wylot w każdym jej włóknie historycznym, regionalnym i gwarowym, jak anatom czy chirurg artysta. Dał Polsce samowiedzę o jej ogromnym dziedzictwie wspólnoty językowej, bardziej niż ktokolwiek skonkretyzował świadomość naszej łączności ze zgubionym przez wieki Śląskiem, ziemią lubuską i warmijską, Mazurami pruskimi, ginącą na oczach polskością Czadeckiego, Spisza i Orawy, dalekich wysp polskości za Wagiem, pod Koszycami, na Morawach i Bukowinie. Z dumą mawiał Nitsch, że choć politycznie daleki od programu wszechpolskiego, w swojej pracy naukowej żywił go może obficie niż politycy. A przede wszystkim on to, Kazimierz Nitsch, nobilitował gwary, zrównując je w swoich pracach dialektologicznych pod względem godności z polszczyzną warstw oświeconych i tzw. literacką. Prawdziwa literatura w gwarze zaczęła się w Polsce po badaniach Nitscha.

Myliłby się, kto by twierdził, że Nitsch znał mowę każdej wsi polskiej. Nie, on znał język każdej części wsi, za potokiem i przed potokiem, różnice między stokiem północnym i południowym, odmiany fonetyczne w pobliżu lasu itd. Jako młody człowiek zwędrował pieszo lub rowerem prawie całą Polskę, rozmawiając, słuchając, spisując wszystko na gorąco. Zdarzały mu się przy tym zabawne przygody. Gdzieś na Spiszu usłyszał w karczmie wyraz „kielusek” na oznaczenie kieliszka. Zapisał więc. Na to jakiś bywały gazda spojrział mu przez ramię i podniósł alarm: „A coż to bees, miastowo beskurcyjo, licył, kielo wto kielusków wypieł?”.

Kazimierz Nitsch należy do tych nielicznych wybrańców losu wśród uczonych polskich, którzy wykonali w całości zadanie swojego życia. Stworzył doskonały system polskiej dialektologii, przewodził krakowskiej szkole polonistycznej przez lat trzydzieści, wy-

chował okazałe grono świetnych następców, „Język Polski” uczynił organem nie tylko badaczy, ale i szerokich rzesz miłośników mowy ojczystej, a podsumował dzieło życia autobiografią i biografiami wybitnych polonistów i sławistów swojego czasu. Razem uzbierało się pism Nitscha na pięć dużych tomów, wydanych zaraz po jego śmierci. Gdyby to były prace innego uczonego, byłyby z pewnością wielokrotnie rozmiarami puścizną, jaka pozostała po Nitschu. Był on bowiem niezrównanym mistrzem zwięzłości i rzeczowości, jak ognia unikał wszelkich kołowań, opisów poszukiwań, wszelkiej literatury. Język jego dzieł jest wzorem surowej prostoty.

Z Nitschowego sztabu koniecznie tu trzeba wspomnieć trzy postacie. Mieczysław Małecki, zdaniem samego Nitscha, główny autor „Atlasu językowego polskiego Podkarpacia” jako pracy wstępnej do sporządzenia gigantycznie zakrojonego atlasu ogólnopolskiego gwar (K. Nitsch: „Ze wspomnień językoznawcy”), dostał od natury absolutny słuch językowy, który mu pozwolił w lot chwycić i rozróżnić najdelikatniejsze różnice i odcienie wszystkich języków słowiańskich, a także nowogreckiego, rumuńskiego i albańskiego. Zdobycze polskiej dialektologii przeniósł z niezwykłym powodzeniem na grunt całej Słowiańszczyzny, pozostawiając po sobie klasyczne rozprawy na temat cech gwarowych słowackich, słoweńskich i serbo-chorwackich. Najwdzięczniej przyjęli jego pracę o języku okolic Solunia i apostołów Słowiańszczyzny Bułgarzy. Ustalił także Małecki, skąd się wzięły w Grecji nazwy miejscowe Warszawa. Przy olbrzymiej wiedzy Małecki nie wyszedł właściwie nigdy z wieku niemal studenckiego (zmarł po wojnie w wieku 44 lat), wstydlivy ogromnie i zarumieniony poza uszy. Magnifika, jakby na przekór tym pąsom, zajeżdżała często z wózkiem dziecinnym na Gołębią, a biedny profesor wtedy musiał się imać niemęskiego zajęcia lulania dziecka.

Był to nareszcie człowiek bezprzykładnej pracowitości w każdej dziedzinie. Oprócz szerzenia w kołach pedagogicznych idei słowianoznawczych, on to, wraz z profesorami Szaferem, Konopczyńskim i Pigionem, założyli w czasie niemieckiej okupacji uniwersytet podziemny.

Henryk Oesterreicher nie wyszedł w życiu poza stopień doktora, chociaż wykładał, prowadził proseminaria z gramatyki opisowej i starocerkiewnego i w ogóle spełniał na Gołębiej rolę panny do wszystkiego. Zastępował chorych profesorów, przeprowadzał różne testy i colloquia, był administratorem „Języka Polskiego”, a przede wszystkim archiwariuszem i redaktorem słownika staropolskiego, wówczas jeszcze w stanie zbierania haseł i przeglądu tekstów. Mnogość zajęć zawdzięczał swojej anielskiej

naturze: skromności, pokorze, wyrozumiałości, usłużności, wy-
rzeczeniu. Był to dobry duch Gołębiej, zawsze uśmiechnięty, ci-
chy, gotów do pomocy. Zaambarasowany czasem studenckimi
psotami, przekrzywił głowę jak dziecko, ale nigdy nie podnosił
głosu i tą nieśmiałością i ciszą budził powszechny szacunek. Nitsch
uważał go za doskonałego lingwistę, ale Oesterreicher zawsze usu-
wał się w cień.

Maria Dłuska, inaczej niż Oesterreicher, bała się panicznie
studenterii i dygotała prowadząc wykłady i ćwiczenia z fonetyki.
Jak to bywa w naturze, tę lękliwość początkującej wtedy uczonej
wykorzystywali skwapliwie zwłaszcza pierwszorocznicy, płatając
pannie Marii dzikie figle. Tymczasem osoba ta garnęła się do
ludzi i bardzo potrzebowała serca. Łączyły się w niej dwie trudne
do połączenia zdolności: wzruszenia poetyckiego i jakiejś ściślej,
chemiczno-matematycznej wiedzy o wierszu. Mowę słyszała Dłu-
ska i pojmowała muzycznie, ze wszystkimi jej przyciskami, intona-
cjami, zaśpiewami, wtórnymi akcentami, cezurami, przyde-
chami i rozziewami, zwężeniami, prejotacjami i nosowościami,
nieuchwytnymi przez zwykłych ludzi. Sama też miała głos urze-
kająco śpiewny, kontrastujący z pewnym zaniedbaniem powierzchowności i surowością rysów.

Biblioteka Polska

Koło Zurych SPK



Słuchacze wydziału filozoficznego, a już zwłaszcza poloni-
ści, tworzyli bardzo zwartą grupę, prawie rodzinę. Zbliżyły
ich wspólne wykłady, seminaria, egzaminy, pracownie, biblioteki,
stosunek do profesorów, zamiłowania, życie towarzyskie, zabawy,
wreszcie Koło Polonistów. Znali się na tym wydziale nie tylko stu-
denci z tego samego roku, ale równie dobrze młodszy ze starszymi
i nawet kończącymi studia, z asystentami i doktorantami. Już na
pierwszym roku formowały się zażyłsze grupy, no i zbliżenia
kończące się zwykle na ślubnym kobiercu. Pary polonistyczne
przodowały wszechnicy co do ilości. Każdy szanujący się poloni-
sta miał swoją flamę z ławy wykładowej. Profesorowie na wy-
działach medycznym i prawnym mawiali: „Jeśli pani przyszła na
uniwersytet po to, by wyjść za mąż, to trzeba się było zapisać na
polonistykę”.

Jeśli już o tym mowa, warto słówko poświęcić studentkom
polonistyki. Dzielono je na trzy rodzaje: panny piękne, panny
mądre i panny szare. Za naszych dni do najurodziwszych w wieńcu
panien pięknych należały: Irena Drożdżówna, Rysia Konarska,
Zofia Krzyżańska (na jej oczy zwrócił uwagę prof. Chrzanowski),
Danuta Kucharska, Antonina Miaskowska, Helena Wnękowska,

Wanda Głodzińska, Stanisława Sarnówna (o kibici i karnacji Goplany), Jadwiga Kogutówna, Rut Grychtołdówna, czarna jak węgiel i nieszczęśliwa Janina Kotówna. Panny najbardziej mądre: Janina Schabowska, Mieczysława Romankówna (zaliczana razem do pięknych, choć małutka), Maria Szurek, która niebawem wyszła za lektora duńskiego Visti, karmiącego się czosnkiem i zważęgo się „Wikingiem”, a mówiącego wcale dobrze po polsku, Helena Gruszczyńska.

Jak w dużej rodzinie, miała polonistykę swoich „wujków”, żelaznych studentów, dziwaków, wesołków, szyderców, studiujących księży i zakonników (o. Kaszuba kapucyn był ulubionym spowiednikiem kolegów, jako tolerancyjny i przygłuchy), siostry zakonne, Polaków z Ameryki (Wolanin, ksiądz Sledź, ładna i zgrabna Miss Pawełek), tłumy nigdy nie siadających do egzaminów poetów, aktorów, artystów, bywalców kawiarni. Teatr miejski czerpał garściami statystów z polonistyki. Sporo było też doktorantów, łowców tytułów, kolekcjonerów fakultetów. Gdzież się miało zebrać to całe towarzystwo, jeśli nie na polonistycę?

Arcydziwak Wiktor Węglarz, lingwista, pochodzący z Igołomi, o prezencji stracha na wróble i bystrej inteligencji, głosił zachwyty dla Związku Sowieckiego, a to dla tej przyczyny, że wymyślono tam podobno coś 20 nowych alfabetów dla ludów zacyfrowanych kulturalnie. W domysłach etymologicznych zapędzał się Węglarz w krainy fantazji, co z Nitscha czyniło chmurę piorunową. Małutki Leszek Ossowski o twarzyczce gryzoniu i pyzaty Tobiasz połykali piękne łydki studentek oczami unoszonymi znad woluminów na Gołębiej i w Jagiellonce. Augustyn Steffen prawie co miesiąc przynosił nowy tomik redagowanej przez siebie „Biblioteki Warmińskiej”, z tekstami pieśni, gadek, przysłów.

Postacią szczególnie spektakularną był Zbigniew Martynowski, utrzymujący się z niewyczerpanych pomysłów: krwiodawcy, wytrwałego poszukiwacza kredytu (w celach mylenia wierzyteli co i rusz zapuszczał gęstą brodę), ministranta. Jedną z żył dochodów, jaką odkrył, było wynajmowanie się sierocińcom i instytucjom dobroczynnym za świętego Mikołaja. Infulę miał własną a ornat wypożyczał. Gdy go któregoś roku przed Bożym Narodzeniem eksmitowano za notoryczne niepłacenie czynszu w Domu Akademickim, co polegało na zabranii z łóżka pościeli, Martynowski nie dał się zbić z tropu, posługując się ornatem w miejsce pościeli. Jedna kłapa ornatu służyła mu za poślanie, druga za nakrycie. Cały Dom pielgrzymował do pokoju Martynowskiego, by podziwiać dobry pomysł.

Życie towarzyskie i umysłowe pogłębiały nadzwyczajnie koła naukowe. W zasadzie służyły one jako pomoc w studiach

dzięki swoim księgozbiorom i skryptom oraz urządzaniu zebrań naukowych. Historycy sztuki, etnografii, prehistorii urządzali ponadto wycieczki do miejsc zabytkowych, muzeów, a nawet badania w terenie. Prehistorycy przegrzebywali piaski i błoto w Toniach, na Krzemionkach i kopcu Krakusa, socjolog entuzjasta, prof. Dobrowolski wodził młodzież po wsiach podkrakowskich, fundując zawsze na koniec wszystkim uczestnikom piwo.

Większe koła naukowe, podobnie jak niektóre wydziały (medycyna, prawo, rolnictwo), urządały corocznie jedną wielką zabawę i szereg potańcówek. Sal w tym celu miał Kraków mnóstwo: od bardzo eleganckich (Towarzystwa Urzędników Miejskich), poprzez obskurne tancbudy (sala Strzelecka na Lubiczu), po ciasne ale własne lokaliki. Wielkie bale wydziałowe wymagały fraków, smokingów i innych szykan. Na to stać było tylko wybranych lub tych, którzy sobie uskładali, nie dojadając, na wypożyczenie garnituru na noc, najczęściej do spółki: ty do północy, ja po północy. Pod salami widywało się często dreptających niecierpliwie na mrozie i oczekujących swojej kolejki do fraka balowiczów.

Najmilsze zabawy odchodziły w domach akademickich i różnych przybudówkach uniwersyteckich.

Najaktywniejsze koła naukowe były dwa, trzymające się zresztą blisko siebie. Poza wypożyczaniem książek, urządzaniem wielkich zebrań i zabaw, wycieczek i wypraw do teatru (w loży mieściło się w takim zespole sześć osób, dla których były krzesła i drugie tyle na stojąco), lokale kół ściągały co dzień o określonych godzinach młodzież jakby kluby. Wspomniane koła naukowe posiadały oblicze polityczno-ideowe tylko w tym znaczeniu, że w zarządzie obu większość stanowili narodowcy, co, rzecz jasna, nie przeszkadzało korzystaniu z pełnych praw opozycji. Lewica prorządowa i socjalistyczna co roku stawała do walki wyborczej, ale Koła Polonistów do końca nie ugryzła, ograniczone powodzenie zyskując tylko u historyków.

Koło Polonistów pozostawało co najmniej od roku 1930 pod zarządem narodowców. Tytuł prezesa od Stanisława Sierotwińskiego przejął na dwa lata poznańczyk Kazimierz Szłapka, po nim Jan Bielatowicz, prezesując jawnie lub z ukrycia (w okresach, gdy bywał dyscyplinarnie „zawieszany w prawach akademickich” z powodu dochodzeń administracyjno-sądowych za udział w demonstracjach) także przez dwa lata, po nim Mieczysław Pszon. Ostatnim przed wojną prezesem Koła Polonistów był Tadeusz Ulewicz.

Rektor Maziarski uważał Koło Polonistów za źródło niepokojów studenckich. W rzeczy samej Koło Polonistów w czasie

walk o autonomię uniwersytetu wywiesiło ze swojego lokalu nad kawiarnią „Cristal” ogromny transparent z napisem „Niech żyje autonomia!”. Policja zdjęła wywieszkę przy pomocy straży pożarnej. Inny znów wyczyn polonistów to przemianowanie ulicy Gołębiej na „Alkazar” w okresie wojny domowej w Hiszpanii, przy pomocy szablonu wykonanego przez Stanisława Szukalskiego i błękitnej farby, która się okazała nie do zmycia. Ale poloniści szli w czołówce nie tylko narodowej (polonista Adam Flis był przez wiele lat prezesem „Młodzieży Wszechpolskiej”; zginął w Katyniu), ale i innej barwy zrzeszeń ideowych: Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej (Bolesław Łaszewski, Tadeusz Nowacki), Legionu Młodych (Kazimierz Namysłowski, Kazimierz Barnaś), Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej (Maks Boruchowicz). Lewica akademicka rekrutowała się głównie z poetów, aktorów i publicystów studiujących polonistykę.



Zanim przejdziemy do naszkicowania studenckiej panoramy polityczno-ideowej, zatrzymajmy się jeszcze nad wielkimi zebra-
niami publicznymi, przeważnie w sali Kopernika, urządzanymi głównie, choć nie wyłącznie, przez Koło Polonistów dla studentów i publiczności kulturalnej Krakowa.

Potrójny był charakter tych zebrań: wieczory autorskie indywidualne, wieczory autorskie zbiorowe i wieczory problemowe. Założeniem pierwszych było ukazać wybitne osobistości ze świata kultury. W ciągu kilku lat na katedrze lectorium Kopernika stanęli przed krakowską publicznością m.in. Artur Górski, Adolf Nowaczyński, Tadeusz Zieliński, Karol Irzykowski, Juliusz Kleiner, Zygmunt Wasilewski, Karol Ludwik Koniński, Stanisław Piasecki, Michał Pawlikowski, Witold Klinger z obroną Brzozowskiego, nie mówiąc o uczonych i pisarzach krakowskich.

Nowaczyński po wieczorze usiadł w gronie studentów na Plantach i wciągając głęboko w płuca powietrze powtarzał: „Nareszcie oddycham”. Profesor Kleiner ujrawszy na afiszu pod swym nazwiskiem tytuł „członek Polskiej Akademii Literatury”, rzekł szczerze oburzony: „A dlaczego nie członek Polskiej Akademii Umiejętności? To chyba ważniejsze!”. Karola Irzykowskiego nikt nie rozumiał, gdyż mówił cicho i dziwacznie się zacinał na ostatniej zgłosce wyrazów. Mówił za to blisko dwie godziny. Tadeusz Zieliński jak powszechnie utrzymywano, skopiował się z figury Zeusa.

Wybitnie udaną imprezą okazał się wieczór współczesnej poezji ukraińskiej, przygotowany na zaproszenie Koła Polonistów

przez następcę Rabejówny na lektoracie ukraińskim Genyka Be-
rezowskiego. Przyszli na ten wieczór prawie wszyscy studenci
ukraińscy, których uniwersytet krakowski liczył koło pięciuset.
Młodzi poeci i recytatorzy mówili i czytali z natchnieniem. Po tym
wieczorze połowa, równie licznych, słuchaczy polskich zakochała
się na zabój w ślicznej aktorce teatru im. Słowackiego Irenie
Starkównie.

Szczyt powodzenia i frekwencji osiągnęło zebranie poświę-
cone „Współczesnym prądom ideowym wśród młodzieży”. Koło
Polonistów z tytułu swojego charakteru naukowego podjęło tę
trudną próbę postawienia obok siebie przywódców ideowych
na zasadzie poszanowania cudzych przekonań i wysłuchania cre-
do mówców w spokoju, bez emocji i interferencji wiecowych.
Przewodniczył prof. Pigoń. Mówcami generalnymi byli, jeśli pa-
mięć piszącego nie myli: Władysław Zachariasiewicz (ZPMD)
Kazimierz Namysłowski (Legion Młodych), Michał Dusza (Strze-
lec), Stanisław Mierzwa (ludowiec), Józef Cyrankiewicz (socja-
lista), Jerzy Turowicz (Odrodzenie), podpisany (narodowiec),
mocarstwowiec, zdaje się, Łubieński. Po krótkich, niemal dekla-
ratywnych, przemówieniach, nastąpiła żywa dyskusja, do której
zapisałi się wszyscy najwybitniejsi działacze akademicy i spoza
uczelni. Zabrał m.in. głos dr Bolesław Drobner i pochwalił...
narodowców za, jak się wyraził, „farysowość” temperamentu i
wiary w swe ideały: „To — mówił — godny przeciwnik”. Wie-
czór zapisał się w kronice tamtych lat jako najdojrzalsza manife-
stacja demokratyczna młodzieży U.J.

Piszącemu utkwiał w pamięci jeden zabawny szczegół. Zaczął
on swoje przemówienie od słów: „Bliska ideału Polski narodowej
jeśli chodzi o granice, była Polska Chrobrego”. Zdanie to spowo-
dowało krótki, ale zjadliwy rechot pierwszej ławy na lewo od
katedry. Obsadzali ją: Kruczkowski, Polewka, Piwowar, Jarema,
Jaremianka, Cyrankiewicz i towarzysze. Dziś już by się nie śmiali.

Jeszcze jeden wieczór w Koperniku wrył się w pamięć dziwną
symboliką. Poświęcony był zagadnieniu: „Czy istnieje literatura
narodowa?”. Znowu pierwsza ława na lewo od mówców zade-
monstrowała po pierwszym zdaniu piszącego. Zaczął on od słów:
„Nie ma bodaj nikogo, kto by wątpił w istnienie cech narodowych
w ludziach”. Podniósł się z ławy barczysty Józef Jarema, wycią-
gnął w górę palce i rzekł donośnie: „Ja”. Po nim tak samo cała
ława. „Więc, prócz pierwszej ławy — ciągnął mówca — nikt
inny nie wątpi”. Okazało się jednak, że wątpił jeszcze ktoś na
„Olimpie”, tj. na samym szczycie sali.

Ale symbolika tego wieczoru objawiła się inaczej. Jan Rem-
bieleński, zaproszony z Warszawy, przemawiał łagodnie i dow-

cipnie. Gdy mu w dyskusji zaproponował Lech Piwowar, o miłej fizjonomii piastowskiej, Rembieleński rzekł doń z wizjonerską pewnością: „Panie Lechu, czy pan będzie chciał czy nie, i tak nawet na końcu świata wezmą pana za Polaka”. Zrobiło się dziwnie cicho, Piwowar spuścił oczy, Rembieleński nagle spowaźniał. Ciało Piwowara znaleziono w parę lat potem w lesie katyńskim.

Imprezom Koła Polonistów w duchu narodowym przeciwstawiła lewica wieczory, urządzone czasem przez Związek Pacyfistów, a czasem przez Koło Przyjaciół Dramatu Klasycznego. Zdaje się, że to właśnie „dramat klasyczny” dał przykrywkę dla dwu szczególnie pamiętnych zebrań.

Jedno było poświęcone sądowi nad „Zmorami” Zegadłowicza. Wieczór miał przebieg kulturalny i dowcipny. Wywody piszącego te słowa na temat gorszycielstwa „Zmór” obalił do szczętu Józef Cyrankiewicz stwierdzając: „Pan B. czuje się zgorszony „Zmorami” publicznie; prywatnie, jak mi wyznał przed chwilą, nie znalazł w nich ani jednego nieznanego sobie wyrazu”.

Inny wieczór poświęcony był Sienkiewiczowi i miał przebiegać w duchu rewizjonizmu Olgierda Górki. Młodzież narodo- wa poczuła się obrażona i zmobilizowała na wieczór nie tylko swoje szeregi, ale i dobrą kopę jajek. Gdy na katedrę wszedł Leon Kruczkowski, sypnęły się ku niemu owe jajka, mówca zaś nie wypowiedziawszy nawet słowa uszedł z życiem w zrozumiałym popłochu. Biedny profesor Chrzanowski wstał i powiedział: „To są metody niegodne ludzi kulturalnych”. Po czym wyszedł. Wieczór był zerwany.

W tydzień potem odbył się jakiś inny wieczór, zdaje się Peipera, pod auspicjami lewicy. Adam Polewka wszedł na katedrę w białym kitlu i z kobiałką pełną jajek, oświadczając: „Z góry proponuję pakt o nieagresji, gdyż prawo rzucania jajkami przysługuje nie tylko słuchaczom, ale i mówcy”. Po czym zwracając się w stronę postumentu Kopernika, rzekł: „A ciebie, magistrze, proszę o wstawiennictwo u patronów Almae Matris, by mi przebaczyli, że jestem pierwszym na tej katedrze prelegentem z jajami”. Huczne brawa oznaczały triumf dowcipu. Linia podziału ideowego przysła pod jego naporem.

Natomiast wieczór pacyfistów z profesorem Szymanowskim z Warszawy miał przebieg burzliwszy. Narodowcy postanowili blokować wejście na wykład sztandarowego pacyfisty i na dobitkę ateisty. Wszystko szło sprawnie, chociaż blokujących zebrało się niewiele. Sukces ich trwał niedługo. W jakie pół godziny z dołu po schodach sunęła zwarta masa robotników, zmobilizowana na ten cel w domu robotniczym. Zmiotli bez trudności blokadę i opanowali salę.

W czasie tych zajęć autorowi tej gawędy zdarzyła się przygoda raczej pochlebna. Coś tam wykrzykując usłyszał od robociarza, który go przedtem uważnie zlustrował: „A ty, łachudro, też po stronie reakcji? Popatrz na swój nędzny przyodziewek. Tyś, łazarzu, powinien iść z klasą wyzyskiwaną”. Argument z powierzchowności nie był całkiem niecelny.



Wkroczyliśmy już trochę w życie polityczno-ideowe. Zawróćmy jeszcze na chwilę ku literaturze, choć i ona illo tempore, jak zresztą zawsze, wiązała się z politycznymi prądami.

Popisy krasomówcze organizowało na U.J. Towarzystwo Biblioteki Słuchaczy Prawa, a kulturę recytacji pielęgnowało z dużym powodzeniem Koło Przyjaciół Żywego Słowa, prowadzone przez lektorów tego przedmiotu, najpierw Ronarda Bujańskiego (aktora teatru miejskiego), później St. Ryszarda Dobrowolskiego.

Na wczesne lata trzydzieste przypadł okres chudy dla życia literackiego na U.J. Małała szybko pełnia awangardy krakowskiej wzięta pod fałdy szaty opiekuńczej „Ikaca” i jego niedzielnego dodatku „Kuryera Literacko-Naukowego” pod redakcją Mieczysława Dąbrowskiego. Tam też drukowali bez żadnej miary swoje wiersze ostatni mohikanie awangardy. Były to zlepki słów bez sensu, mniej więcej tak jak i dziś u „poetów londyńskich”, a także większości krajowych. Mało kto już dziś pamięta nazwiska ówczesnych wielkości poetyckich: Telegi, Zelenaya, Srogi, Namysłowskiego, Barnasia itd. Byli wśród nich też, oczywiście, wychowankowie Juliana Przybosa z Cieszyna. Coś tam ocalało z dwu poetów ludowych, nazywających się „autentystami”: J.A. Frasika i J.B. Ozoga. Wiązał to towarzystwo „Litart”, dalszy ciąg „Helionu”, pod patronatem Peipera i Kurka. Pierwszy przesiadywał jak papież awangardowy w „Cristalu”, a posłuchania u niego odbywały się za kolejką. Kurek był zajęty wyłącznie sobą.

Z czasem zaczął się krystalizować ośrodek literacki o wyraźnym zabarwieniu ideowo-politycznym, mianowicie lewicowym, skupiający elementy prorządowe i radykalne. Znalazły się tam wcale liczne, ambitne i gorące pióra z maturą wadowicką i nowosądecką, przeważnie. Patronowali tej grupie z bliska Polewka Ignacy Fik, Kruczkowski i z daleka Zegadłowicz. Należeli do niej m.in. Kornel Filipowicz, Tadeusz Hołuj, Władysław Bodnicki, Zygmunt Fijas i in. Ich pismo nosiło tytuł „Nasz Wyrz”, o wcale interesującej treści.

Ale, normalną rzeczy kolejną wśród „irritable genus poetarum”, wyłoniły się z tej grupy aż dwie frakcje: „Młoda Awangarda” oraz „Trybuna Literatów i Artystów”. A tego doprawdy już zrozumieć się nie dało.

Zresztą pisarze i poeci nie gardzili łamami wszystkich czasopism krakowskich, niezależnie od swoich ideologii. Główne źniwo zbierał, ma się rozumieć, „Ikac”.

Wśród poetyckiej konfraterni błakali się też samotnicy. Należał do nich Janusz Andrzej de la Pett del Omell'e de Lilio Rym-sza Szypulski. Czy to było prawdziwe nazwisko, nikt nie dociekał. Januszek, uroczo uśmiechnięty i odrobinę zawsze sparfumowany siwuchą, przychwytywał kolegów na Rynku i wiódł do Gebethnera, gdzie kupował tomiki swych wierszy i dramatów, dedykując je zainteresowanym i nie. Na wieczór autorski poety, prócz recytatorów, zjawiły się dwie siostrzyce: jedna niska-gruba, druga cienka-długa. Czytać można było wiersze Peta Omela Lili Rym-szy Szypulskiego od przodu do tyłu z tym samym rezultatem co na odwrót, jeśli chodzi o uchwycenie znaczenia.

Żył ale Kraków z odsetków przeszłości. Nierzadkie były jeszcze owymi czasy występy poetów młodopolskich, np. Macieja Szukiewicza, Tadeusza Szantrocha i Antoniego Wańkowskiego, a już Jan Wiktor, Tadeusz Kudliński, J.A. Gałuszka, Michał Rusinek Tadeusz Peiper, Jalu Kurek, Maria Pawlikowska, Witold Zechenter, Kazimierz Czachowski, Leon Pomirowski to był chleb powszedni na forum literackim. „Litart” przypominał raz po raz to towarzystwo.

Największym wzięciem cieszyły się wieczory autorskie Mariana Czuchnowskiego, już nie studiującego na U.J., ale mocno z nim związanego. Choć rzucał słowa jak płonące żagwie na wiatr i rewolucją straszył, był ulubieńcem wszystkich z lewa, z prawa i ze środka. Na świecznik wydobyl go sapieżyński, a raczej janamatyasikowy „Głos Narodu”, flirtowały z nim gazety prorządowe, za swego uważała lewica, zaś sam poeta organizował grupę radykałów chłopskich i pismo „Wieś — jej pieśń”, czytowane tylko przez redaktorów, i to bez większej fadygi, bo numery świeciły niemal od deski do deski bielą konfiskat. Czuchnowski siedział bez przerwy w mamrze, z dumą obnosząc w krótkich okresach wolności goloną pałkę, uchodził za umierającego na suchoty i jednał sobie u wszystkich współczucie. Brat-łata doskonały, cherubinek i głodomór, i Robespierre nowej poezji, gdy recytował w sali Kopernika wiersze, panienki mdlały, a studentów, wszystko jedno jakich przekonań, oblatywały mrówki po grzbiecie. To był zatem poeta naszej generacji.

Humoru nielada dostarczały wieczory poetów młodych (wspomnianej już ostatniej fali awangardy, zanim się nie okazało, że ten typ poezji będzie mieć żywot wieczny) oraz coroczna „Parada parodji”, szampański wieczór satyryków: Anatola Krakowieckiego, Zbigniewa Grotowskiego, Zechentera, Antoniego Wasilewskiego, Magdaleny Samozwaniec i in. Największej uciechy dostarczały parodie à la minute młodych poetów w wykonaniu Grotowskiego.

Słowo należy się poetom ludowym i regionalnym. Odchodził właśnie z polonistyki ze sporą gwiazdą nad czołem Stanisław Piętak. Gościem rzadkim w naszym mieście bywał Wojciech Skuza, autor poematu o Wojciechu Szeli pt. „Kumac” i sam się stylizujący na rebelianta. O śląskim Fierli już było. Wreszcie literacką gwarą podhalańską pisali: wiersze Augustyn Suski, opowiadania Władysław Tylka. Wszystko poloniści.



O życiu ideowo-politycznym młodzieży akademickiej w dwudziestoleciu prawi się zwykle tonem potępienia i zgorszenia, a obraz jego maluje się w barwach czarnych i zgoła surrealistycznie. Nic dziwnego, że skoro cały obraz daleki jest od rzeczywistości, tedy jego szczegóły nabierają wymiarów wręcz fantastycznych. Dotyczy to szczególnie zaburzeń i demonstracji przeciwżydowskich. Trudno w tej tu gawędzie wchodzić w tę niewdzięczną i smutną sprawę, nie można jednak tematu tego pominąć, pisząc o klimacie tamtoczesnego okresu, i to w tonie umiarkowanej apologii.

Demonstracje przeciwżydowskie wybuchały na wyższych uczelniach zasadniczo tylko raz do roku, w jesieni, i w zamierzeniu planowane były na jeden dzień. Jednak histeria władz administracyjnych, nieporadność i płochliwość władz akademickich oraz prowokacje z zewnątrz zamieszki te przedłużały. Nie wchodząc tu w ocenę, czy cel i metody organizatorów były słuszne i właściwe, trzeba rzecz nazwać po imieniu. Hasłem demonstracji był „dzień bez Żydów”. Komitet demonstracji, złożony z przedstawicieli młodzieży nie tylko narodowej, wzywał do przypinania zielonych kokardek do surdutów i płaszczy, jako symbolu walki ekonomicznej, po czym ogłaszał w salach wykładowych (przed lub po wyjściu profesorów), że w dniu takim a takim Żydzi mają być na wykładach nieobecni.

Istotnie studenci Żydzi na ogół tego dnia nie pojawiali się na uczelni. We wczesnych latach trzydziestych uparcie i heroicznie przychodziło na wykłady, jakby nigdy nic, tylko dwu studen-

tów żydowskich: rosły Ehrenpreis i rudy Ludwik Sternbach, syn profesora, obaj prawnicy. Obu ich gwałtownie, lecz bez żadnego bestialstwa, usuwano poza obręb uczelni. Trzeba im tu obydwu oddać honor, że byli to Polacy, gotowi za swoją świadomość narodową stawić czoła krzywdzie i niebezpieczeństwu.

Niemniej okrzyk towarzyszący „eksmisji” studentów żydowskich brzmiał wcale nie „bij Żyda”, lecz przeciwnie: „nie bić!”. Następnie odbywał się w westybulu Collegium Novum wiec poświęcony sprawie żydowskiej w Polsce, po czym pochód ruszał w stronę Rynku, skandując okrzyki, skierowane nie tylko przeciw Żydom, ale wyrażające inne też postulaty akademickie, polityczne i niepolityczne.

Celem marszu był pomnik Mickiewicza, gdzie po odśpiewaniu „Roty” pochód się rozwiązywał. Niestety, niemal nigdy do tego nie dochodziło, gdyż w drogę wchodziły dwa nieobliczalne czynniki: po pierwsze prowokatorzy z tłumu, którzy korzystając z okazji tłukli tu i ówdzie szyby w sklepach żydowskich, po wtóre policja, wjeżdżając samochodami w maszerujący tłum i przystępując zmiejsca do okładania demonstrantów pałkami gumowymi i łufami karabinów oraz do aresztowania oporniejszych. Zatrzymanych więziono w najpodlejszym kryminale krakowskim „u św. Michała” lub też w areszcie przy ulicy Siemiradzkiego. W ogóle policja robiła z odruchu młodzieży sprawę stanu. Mobilizowała posterunki z sąsiednich miast, zaciągała nocne patrole, rozpędzała przechodniów, a przede wszystkim uruchamiała motopompy, które zlewały w zimne dnie, jakby na śmigus wielkanocny, każdego napotkanego studenta, nawet pojedynczego. Oczywiście, wystąpienia policji zaostrzały sytuację i przewlekały demonstracje, szczególnie jeśli rektorowie słabszej ręki zbyt pośpiesznie zamykali uczelnię. Poza nią dochodziło do bójek ulicznych i innych scen gwałtu, ale działo się to zwykle bez udziału młodzieży akademickiej, natomiast do akcji wchodziły elementy nieakademickie.

Jeśli chodzi o szyby, to na rachunek akademików należy zapisać dwa odruchy. Pierwszy to szynk Goldmana naprzeciw Collegium Novum. Któregoś roku podobno syn tego szynkarza uderzył w twarz kolegę medyka. Stąd odwet na interesie ojca, oczywiście ubezpieczonego. Drugi wypadek, to szyba w drukarni „Ilustrowanego Kuryera Codziennego”, który zbyt bezceremonialnie potępiał młodzież. Szybę stłuczono kamieniem, owiniętym w papier z napisem: „Niech nas wysłodzi Tajny Detektyw!” (aluzyja do tygodnika pod tą nazwą wydawanego przez „Ikac”). Metody nie pochwalam, ale wybór trafny.

Nie będziemy się tu już dłużej rozwodzić nad demonstracjami jesiennymi młodzieży. Dodać trzeba, że policja tępiła je z

taką samą zaciekleścią, jak demonstracje przeciwniemieckie, przeciw podwyżce opłat studenckich, zniesieniu autonomii itd. Na czele granatowych oddziałów kroczył zawsze słodki, ale podstępny inspektor Rożański i jego prawa ręka „koński pysk”, plutonowy Struzik. Przywódców i tych, którzy inicjowali okrzyki typował sobie wmieszany w tłum incognito komisarz Olearczyk i jego łapsy, wśród których najbardziej nieznośne i obleśne było indywiduum o nazwisku Szczepanek.

Inna sprawa: młodzież domagała się, owszem, numerus clausus dla studentów żydowskich, co jednakże bynajmniej nie miało charakteru dyskryminacji rasowej. „Ghetta” ławkowego nigdy w Krakowie nie było, prócz nieudanej próby na wydziale prawnym, podjętej przez garstkę ONR-owców, lecz udaremnionej przez „Młodzież Wszepolską”.

Organizacji ideowych na wyższych uczelniach, więc i na U.J., istniało wbród. Narodowa „Młodzież Wszepolska” na progu lat trzydziestych bynajmniej nie była najliczniejsza. W jej ręku był tylko Bratniak medyków, a i to raczej na słowo honoru, oraz parę kół naukowych. Resztą rządziła niepodzielnie młodzież rządzona (sanacyjna). Najpierw ster dźrzyży „Strzelec” (akademicki oddział Związku Strzeleckiego), potem Legion Młodych, wreszcie Związek Polskiej Młodzieży Demokratycznej. „Strzelec” był organizacją paramilitarną i przez to narowcom jeszcze najbardziej sympatyczną w okresie rządów Bratnią Pomocą, z olbrzymim Tadeuszem Iskrzyckim jako prezesem, Michałem Duszą i Jagiełłowiczem, który nawiasem mówiąc, zasłynął uwiedzeniem najładniejszej kelnerki w jadalni. Legion Młodych rychło zeszedł na lewicowe bezdroża i uwikłał się w wewnętrzne sprzeczności. ZPMD opanowawszy Bratniak przez kilka lat nadawał ton życiu społecznemu młodzieży akademickiej w Krakowie. Ideologię tę można określić jako „postępową”, ale tylko w sensie teoretycznym, bowiem w praktyce była to pepiniera przyszłych urzędników administracji i rozgłośnia polityki pomajowej. Runęła w oka mgnieniu po odebraniu jej Bratniaka przez narodowców.

Najczyściej ideową grupą prorządową była nieliczna, ale wyborowa „Myśl Mocarstwowa”, dążąca do ożywienia jagiellońskich tradycji Rzeczypospolitej Narodów. „Mocarstwowcy” rekrutowali się niemal wyłącznie z ziemiaństwa. Ich organem ogólnopolskim był „Bunt Młodych” (nim we wczesnych latach trzydziestych stał się niezależnym pismem kulturalno-społecznym), „Myśl Mocarstwowa” występowała czynnie przeciw demonstracjom przeciwydowskim, urządzając kontrmanifestacje, skromne co do ilości uczestników, lecz odważne i piękne w intencji. W czasie jednej z takich manifestacji kamień rzucony z ulicy trafił w sam

środek czoła Ksawerego Pruszyńskiego, który nie przestał śpiewać „Pierwszej brygady”.

Młodzież narodowa zaczęła gwałtownie wzrastać w siły od roku 1933, rozpoczynając wtedy pierwsze szturmowanie na organizacje akademickie. Do roku 1937 zdołała niepodzielnie opanować wszystkie organizacje na wszystkich uczelniach krakowskich, z Akademią Górniczą, Wyższą Szkołą Handlową i Akademią Sztuk Pięknych, a wpływ jej szedł, jak się zdaje, głębiej niż w innych ośrodkach, gdyż rozchodził się żywo na społeczeństwo, zwłaszcza na wieś. Poza tym Kraków ustrzegł się prawie w zupełności ONR-u.

Katolickie „Odrodzenie” z racji oparcia o kurię książęco-metropolitalną ks. Adama Stefana Sapiehy i o „Głos Narodu” ks. Piwowarczyka, posiadało w Krakowie charakter raczej prawnicowy. Przywódcy tej organizacji: J.J. Święcicki, Sadowski, Krzyżanowski i inni sympatyzowali jawnie z „Młodzieżą Wszepolską”, natomiast z rezerwą trzymał się Jerzy Turowicz.

Młodzieży chłopskiej na U.J. studiowało sporo, chociaż bez wątplenia nie stanowiła ona przewagi, oprócz wydziału teologii. To może było częściowo przyczyną, że i organizacja ideopolityczna ludowa, Polska Akademicka Młodzież Ludowa, liczyła skromny zespół zwolenników, natomiast wielu synów chłopskich garnęło się już to do młodzieży narodowej już to do organizacji prorządowych. PAML-em dyrygowało Stronnictwo Ludowe, od jego też taktyki zależało oblicze ideowe organizacji, to prawnicowe, to lewicowe. Generalnie ludowcy szli do wyborów z narodowcami. Pierwszy też szturm na sanacyjny Bratniak wykonała koalicja: narodowo-ludowo-śląska. Ale w zwyczajnych wyborach roku 1937 ludowcy szli przeciw narodowcom.

Sojusznik był chimeryczny, a przywódcy janusowi i raczej, poza A. Mierzwą, mierni. Poważniejszymi można by się jeszcze doliczyć paru: Szczotka, Jan Dusza, Matus. Ludowcy dostarczali życiu ideowemu i samopomocowemu postaci humorystycznych, gadułów, stękałów i chłopków-roztropków, jak, nie obrażając ich pamieci, medyk Sychta, czy polonista Matysik.

Socjaliści mieli swój Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej, ciągle szarpány wewnątrznymi rozłamami, rozwarstwieniami i podkopami komunistów, stąd nieliczny, choć wcale wpływowy. ZNMS stał na dobrej sprawie osobowością Józefa Cyrankiewicza, przy którego boku był nieodłączny Polluks — Maks Boruchowicz. Socjaliści byli za słabi, aby stawać otwarcie do walk o władzę w organizacjach, uprawiali natomiast wcale zręczną agitację poprzez koła literacko-artystyczne, mając w Krakowie

wiele tęgich piór i pędzli. Centralami tego ruchu był Dom Plastyków i teatr eksperymentalny „Cricot”.

Do starć między młodzieżą socjalistyczną i narodową w latach trzydziestych, poza wspomnianym już występowaniem prof. Zygmunta Szymanowskiego, nie dochodziło. Jedynym widomym znakiem walki klas na U.J. było doroczne niszczenie gablotki Towarzystwa Krzewienia Świadomego Macierzyństwa na lokalu przy ulicy Straszewskiego — przez jedną stronę, oraz tablicy ogłoszeniowej korporacji — przez drugą. Oba ciosy wymierzone zresztą niezbyt celnie. Świadome Macierzyństwo zemściło się o tyle, że dziś jego siedziba znajduje się w Szarej Kamienicy, w dawnym lokalu centralnym Stronnictwa Narodowego.

Korporacje w powszechnym mniemaniu uchodziły za bazę narodowców. Nic podobnego, przynajmniej w Krakowie. „Młodzież Wszechpolska” na próżno usiłowała trafić do korporacji, które się łamały na ogólnopolską konfederację korporacyjną, na korporacje chrześcijańskie i dzikie. Chrześcijańskie skupiały niemal wyłącznie Ślązaków i miały charakter regionalny z odcieniem chadeckim. Do „Constantii” należał syn Korfantego. Dzikie kreśliły sobie różne, czasem dziwaczne, cele. Do konfederacji należały korporacje wydziałowe, towarzyskie i... stanowe. „Corolla” np. skupiała wyłącznie fuchsów, komilitonów i filistrów mogących się wykazać szlachectwem. Wszystkie twardo walczyły o swoją niezależność i odpierały zakusy polityczno-ideowe. Dopiero wtórnie narodowcy, tuż przed wojną, zaczęli je penetrować i opanowali wszystkiego jedną: „Palaestrę”.

Korporanci mieli zwyczaj gromadzić się w południe w wystybulu Collegium Novum wedle barw, w swoich deklach, co mogło sprawiać wrażenie ich liczebności. Ale poza libacjami, i to wielce w opinii przesadzonymi, jedynym wystąpieniem publicznym konfederacji korporacyjnej w ciągu kilku lat był wiec, zwołany po zniszczeniu ich tablicy ogłoszeniowej, zakończony odwetowym zniszczeniem tablicy „Legionu Młodych” i ZNMS. Ale te tablice ginęły już nieraz przedtem, przy czym nieznani sprawcy lokowali je z upodobaniem w pobliskim ustępie.

Tak tedy biedne korporacje stały się kozłem ofiarnym propagandy lewicowej, a już zwłaszcza komunistycznej, pomawiającej je o coś w rodzaju uprawiania czarnych mszy faszystowskich.

AZS i Chór Akademicki pod dykcją Bolesława Wallek-Walewskiego ustrzegły się infiltracji i różnic politycznych (bożyszczem sportowców był wtedy skiffista Verey), ale takie stowarzyszenia jak harcerska „Watra”, Akademickie Koło TSL itp. stały się terenem zaciętych rozgrywek.

Oczywiście, i koła prowincjonalne. Tylko Kresowiaci przy-

chodzili do swojego własnego lokalu z kuchnią sycić tęsknoty ukraińskie i do stanic polskości: Piotrogradu, Ufy i Tuły, bez względu na różnice ideowe, ale kilkadziesiąt innych kół prowincjonalnych żarzyło się od namiętności politycznych. Wpływami w nich dzieliły się sprawiedliwie ugrupowania narodowe, ludowe i proządowe, z rosnącymi wpływami pierwszych. Szczególnie bojowe endecko było Akademickie Koło Podhalan za prezesury Stanisława Łopaty. Domeną ludowców byli Tarnowiaczy i Ziemia Sandomierska.

Śląska „Silesia”, najpotężniejsze koło regionalne, występowało jako partner na terenie ogólnoiდეowym, a miało oblicze katolicko-narodowe. Dostarczało znakomitych działaczy samopomocowych i zrównoważonych, o talentach gospodarczych, prezesów. Ślązacy byli ostatnimi prezesami Bratniej Pomocy (Józef Czech, Jan Kiser) i wielu innych organizacji. I co ciekawe, nie stawali się oni nigdy „zawodowymi” samopomocowcami, lecz pracując organizacyjnie umieli sprawnie uporać się również ze studiami.

Organizacji narodowościowych U.J. nie miał, zapewne skutkiem nacjonalistycznej atmosfery polskiej. Tylko Ukraińcy, których studiowało w Krakowie ponad 500, mieli swoją samopomoc i jakąś „Proświtę”, z którymi się jednak nie afiszowali. Jawnie występowało koło uchodźców Rosjan, lecz niczym ważnym się nie zaznaczyło. Rosjanie łatwo się polszczyli.

W r. 1937 rozegrała się generalna batalia w Bratniej Pomocy, która dała w wyniku bezsporne zwycięstwo narodowcom.

Triumf w Bratniaku U.J. dał hasło młodzieży lewicowej do bardzo nieprzemyślanego wyskoku. Głosiciele demokracji, przegrawszy bezapelacyjnie wybory, zatrzasnęli się w Domu Akademickim i ogłosili jego blokadę pod hasłem: „Nie oddamy Bratniaka endekom!”. Wywiesili transparenty, nie dopuszczając do środka ani nowych władz koleżeńskich ani przedstawicieli władz akademickich. Blokada ciągnęła się przez siedem tygodni, z ogromnymi stratami dla domu, kuchni, sklepu i dobrych obyczajów. Jak się po latach okazało, w kulisach tej sprawy stali delegaci komunistyczni, którzy dziś uważają blokadę domu akademickiego za historyczne dokonanie partii. Jest faktem, że pochod pierwszomajowy wyjątkowo w tym roku przeszedł ulicą Jabłonowskich koło domu akademickiego, a gdy go mijają, z okien rozwinięto czerwony sztandar.

Jednakże nazajutrz okupanci dom opuścili. Można się spierać, przez kogo był obmyślony kierunek pochodu pierwszomajowego, nie da się jednak zaprzeczyć, że w wyborach wzięła udział znikoma ilość, jeśli w ogóle, socjalistów, natomiast zwycięską walkę stoczyli narodowcy z ugrupowaniami proządowymi. Skąd

się dziś bierze w publikacjach jubileuszowych w kraju podnoszenie owej sanacyjnej blokady do rangi historycznego wyczynu „socjalistycznego” i „antyfaszystowskiego”, trudno dociec (zob. zbiorową pracę pt. „Postępowe tradycje młodzieży akademickiej w Krakowie”).

W latach trzydziestych istniały realnie na U.J. tylko dwie siły: kilkuczłonowa koalicja prorządowa (pomajowa) i narodowcy. Drobne grupki: ludowa, katolicko-społeczna i socjalistyczna grały w tym układzie niedużą rolę.

Nie można też zacieśniać, jak to się zwykle czyni, działalności „Młodzieży Wszechpolskiej” tylko do manifestacji przeciwdowskich.

Narodowcy prowadzili na wyższych uczelniach pracę także katolicką i ich zasługą przede wszystkim jest odrodzenie religijne wśród młodzieży. Dalej, wszechpolacy byli czujni na sprawę niemiecką. Demonstracje w sprawie Gdańska i prześladowań Polaków w Niemczech miały przebieg gwałtowniejszy niż przeciwydowskie. Pochód akademicki w roku 1938 zdołał donieść pod pomnik Mickiewicza olbrzymią kukłę min. Becka, obejmującego się z Hitlerem i ozdobionego tablicą zdartą poprzedniej nocy z konsulatu niemieckiego. O tę kukłę toczył się wcale żwawy bój na Rynku z policją, zakończony pobiciem i aresztowaniem dziesiątków studentów, przy czym w wyniku wzajemnej szarpaniny Hitler dostał się w ręce policji, a Beck młodzieży. Narodowcy występowali także żywo w obronie praw akademickich, przeciw reformom jędrzejowiczowskim, pogwałceniu autonomii, przeciw podwyżce opłat itd.

Utarło się każdą manifestację studencką podciągać pod zwykłe burdy, a było w tych demonstracjach wiele zdrowych myśli i młodzieńczego idealizmu. Typowym wydarzeniem była jednolita blokada U.J. w roku 1937. Była to reakcja na brutalne wkroczenie policji z bronią i gazami na teren uniwersytetu warszawskiego, i miała na znak solidarności potrwać tylko dzień i noc. Rektor Szafer wezwał przywódców młodzieży i zwymyślał, dlaczego ze swym planem demonstracji nie przyszli do niego po zgodę. „A może bym się zgodził?” — rzekł Rector Magnificus i zażądał opuszczenia uczelni. Cóż było robić? Wyszliśmy jednymi drzwiami, aby wrócić drugimi, z tym przekonaniem, że teraz blokada odbywa się za aprobatą rektora.

Nazajutrz o świcie tylną bramą uniwersytecką, od ulicy Jagiellońskiej, wdarła się niespodzianie grupa uzbrojonych w łomy żelazne studentów, podejrzewanych o tendencje komunizujące i z okrzykami „chcemy się uczyć” przystąpiła do demolowania zabytków prehistorycznych i bicia łomami zaskoczonych uczestni-

ków blokady. Kiedy napad został odparty, ze strony napastników posypały się kule rewolwerowe, przestrzeliwując szyby wstybulu. Czegoś podobnego dotąd w historii walk ideowych młodzieży U.J. nie było. Nawet po latach trudno określić zbrojny napad na protestujących przeciw pogwałceniu wyższej uczelni studentów wyczynem „postępowym”. Elementy komunizujące po prostu chciały wykorzystać sposobność do siania zamętu.

Młodzieży narodowej w owych latach przywodzili, już po ukończeniu lub kończący studia: dr Stefan i Tadeusz Surzyccy (obaj zginęli w obozach niemieckich), Stefan Klimecki (zginął w obozie niemieckim), Władysław Jaworski (przeżył więzienie bezpieki) oraz studiujący: Adam Flis (zginął w Katyniu), Antoni Grębosz (zginął w Oświęcimiu), Lech Haydukiewicz (zginął w więzieniu bezpieki), Jerzy Sikora (zginął w kampanii wrześniowej), Marian Trecz (przeżył obozy niemieckie), Stefan Żabicki (zginął w obozie niemieckim). Zginęli zamordowani w obozach lub na wschodzie prawie wszyscy działacze narodowi z U.J., Akademii Górniczej i WSH, prócz tych, którym los pozwolił dotrzeć do jedynej bramy wolności: do wojska na obczyźnie. Ale i tu złożyli sutą daninę krwi. Ci zaś, co ocalili życie do końca wojny w kraju, dostali się na długie lata do więzień bezpieki.

Rok przed wojną wygłosił na uniwersytecie odczyt młody niemiecki profesor Koenig o współczesnej niemieckiej filozofii. Należał do partii hitlerowskiej. Odczyt urządziła prorządowa „Liga” („związek zbliżenia międzynarodowego”). Wstęp był pilnie strzeżony, mimo to na salę udało się wemknąć gartsce przeciwników takiego zbliżenia. Gdy Koenig zaczął mówić, do katedry podszedł Józef Cyrankiewicz, wydobyl spod ławki wiązanek czerwonych róż i powiedział: „Te kwiaty niech pan złoży na grobach pomordowanych towarzyszy...”. Nie skończył, bo mu tym bukietem zamknięto usta, raniąc go kolecami. Następnie wypchnięto go za drzwi.

Jakimś tam słowem piszący to usiłował okazać solidarność z wyrzuconym. Wyleciał na korytarz tym samym trybem, gdzie zaraz przystąpił do wymówek, że róże były tylko czerwone i że porządnie rozbijając zebrania potrafią tylko narodowcy. A socjaliści nie powinni się sami do tego zabierać.



Ma się rozumieć, że życie polityczno-ideowe płynęło nurtem pobocznym życia studenckiego, choć rozogniało gorące pasje i stawało się przyczyną przedłużania się studiów.

Życie codzienne, poza wykładami i seminariami, poza rozkwitaniem i wędnięciem uczuć osobistych, toczyło się na stacjach i w domach akademickich, których miała młodzież U.J... Policzmy!

I Dom Akademicki, przy ulicy Jabłonowskich, fundowany przez ojca drugiej żony Sienkiewicza Marynuszki, Konstantego Wołodkowicza, ciasny, zionący terpentyną na całą dzielnicę, zapluskwiony, hałaśliwy. W pokojach cisnęło się przeciętnie trzech do czterech lokatorów. Osobom płci pięknej wolno było odwiedzać dom tylko w ograniczonych godzinach dnia. Gdy tylko na korytarzu zaświergotał głosik dziewczęcy, wszystkie drzwi się otwierały jak na komendę, i błyskawicznie powstawał szpaler rozdziawionych ust i skrzących oczu.

W suterenie znachodziła się kuchnia, stołówka i natryski. Na parterze, prócz biur Bratniaka, znajdowała się zawsze wypełniona czytelnia czasopism, sklepik i fryzjerna pana Stanisława Kasztelewicza, grubego i pękatego wosacza o ustach pełnych złotych zębów. Pan Kasztelewicz pełnił zaszczytną funkcję społeczną prezesa towarzystwa hodowli kanarków. Goląc brodę lub strzygąc głowę rozповідаł cudeńka o swoich ptaszkach, pękając ze śmiechu i szczęścia. A brzytwy ostrzył na dłoni. Zasię fryzjerczycy, wszystko chłopcy jak świece, jak zawodowi przystało, stronili od deklaracji politycznych, ale za to stali murem za „Cracovią”.

Za „Wisłą” był II Dom na Oleandrach. Tam zresztą mieszkała połowa graczy „Wisły”. Dom był obszerny, spokojniejszy, o lepszym powietrzu, choć czegoś cieszył się złą sławą.

Obiady w obu domach nie różniły się zbytnio od siebie. Jarski, za 45 groszy, prócz zupy (najgorsza z płucek), i deseru (zawsze to samo kruche ciasto z marmoladą) składał się z hałdeczki ziemniaków oblanych sosem mięsny i z okrutnie kwaśnej kapusty z kminkiem. Któregoś roku dokonano odkrycia, że w beczce kapusty na dnie dobrze się w kwasie zakonserwowały zwłoki kocie. Kapusta straciła wówczas wielu amatorów na rzecz buraczków. Chleb można było najpierw brać w dowolnej ilości, ale gdy stołownicy zaczęli nim wypychać teczki, kasjer pilnie przestrzegał, żeby każdy brał po jednej kromce. Za dalsze porcje chleba trzeba było dopłacać.

Obiad mięsny kosztował 80 groszy. Kto miał sztamę z kelnerkami, ten odnajdował czasem pod kartoflami małą porcyjkę mięsa także i w daniu jarskim.

W pobliżu I Domu znajdował się na placu Jabłonowskich — Katolicki Dom Akademicki pod patronatem ks. Sapińskiego, górala i osobistego przyjaciela ilustratora „Zmów” malarza Rze-

pińskiego. W.K.D.A. mieszkali głównie Podhalanie. Obiady były dobre, ale straszliwie tłuste. Zupy nie dało się przełknąć, aż przestygła. Obok dom studentek „Jedność”. Obiady były dostępne także dla gości płci męskiej. Kto miał odwagę wejść do jadłodajni, a jeszcze umizgnąć się przez okienko do kucharek, mógł liczyć na protekcyjną porcję.

Kresowiaci mieli swoją kuchnię na Wolskiej. Na ulicy Felicyjanek wydawała obiady za darmo „głodna kuchnia” Siostry Samueli z funduszu metropolity. Trzeba było pobrać przedtem kartki od księży.

Inna duchowna kuchnia otwierała gościnne podwoje w Sodalicyjnym Domu Akademickim na Kanoniczej. Tu znowu podawano dwie kategorie obiadów: mały i duży. Najbardziej opłacało się brać dwa małe.

Bursa przy Garbarskiej obiadów nie wydawała.

Medycy mieli swój dom ze wszystkimi szykanami, teolodzy jeszcze bardziej, także górnicy, WSH i ASP.

Poza tym na mieście istniało mnóstwo garkuchni i handlów śniadankowych nastawionych na akademicką klientelę. To osobna a długa historia. Nie można tylko pominąć milczeniem baru i mleczarni „Pod Bacchusem”, gdzie pan Poniedziałek dawał talerz zupy z dowolną ilością chleba. Ile piekarń musiało co dzień dostarczać chleb pod Bacchusa, tę tajemnicę znał tylko sam właściciel baru. Lokal serwował m.in. fasolkę po bretońsku. Doskonałą, ale na języku czuło się zawsze po niej jakby włosy. Więc jakiś student zamówił raz: fasolkę z grzebykiem.

Nie było jeszcze naówczas gromadzkich piwnic, stodół ni klubów. Tańcówki jednak odbywały się w dziesiątkach lokali lub w szkołach tańca. Nie wygasła jeszcze całkiem tradycja „Jamy Michalikowej”, jako umiarkowanie snobistycznej, niby to artystyczno-literackiej spelunki. Obsiadywały ją stale śmierdzące leniwce. Kiszkowato długa, zatęchła, zakisła od dymu kawiarenka, o staroświeckich pluszowych kanapach i fotelach, obwieszona Sichulskimi, Stanisławskimi i Pautschami, ogryzmołona przez poetyckie pokolenia, świadczyła już nie absynt, ale mieszczańską kawę z pianką i piętrowe ciastka z kremem, pod muzyczkę zacinającą „Płatki deszczu” i „Violette”. W każdym razie panny uwodziło się tam na literacko.

Zaś na hultajsko i hulaszczko robiło się to w srogo obskurnej norze na Stradomiu „Pod Krzyżykiem”. Przystąpienie progów miodosytni należało do uświęconych obrzędów akademickich i było czymś w rodzaju nieoficjalnej imatrykulacji. Były to akademickie wyzwoliny. Wejść było łatwo, wyjść gorzej. Czarki miodu kasztelańskiego, poselskiego i królewskiego z zakąską z

piernika, przemieniały nogi w ołów. Tam to najwięcej gardeł studenckich przy lepkich dębowych stołach traciło cnotę. Cóż, życie! Kiedyś trzeba zacząć. Można być pewnym, że ośmiu na dziesięciu wychowanków akademii krakowskiej, zapytanych, gdzie się po raz pierwszy w życiu spiło, odpowie: „Pod Krzyżkiem”. I to zdaje się, poczynając od 12 maja 1364, bo lokal był architektonicznie Kazimierzowski.

Na ten raz niech starczy tej gawędy. Nie ma w niej wielu myśli poważnych i wiadomości, które by można umieścić w uczonej historii. Gawęda bowiem to swobodna opowieść o smaku i zapachu czasu i miejsca; o gestach, minach, uśmiechu, o wszystkim tym, co nieważne, co nie da się utrwalić, a co zaledwie można niezgrabnie i bezradnie przywołać.



Jakież może być udział w jubileuszu naszej starej uczelni wygnańców i uchodźców? Skurcz serca, wzruszenie, sen, złuda. Wzięłoby się w ręce wiązanek róż czerwonych i białych i wręczyło je komuś, kto imię na pewno pozostanie na trwałe w historii wszechnicy krakowskiej jako inicjatora potężnej rozbudowy miasta nauki.

Wręczyłoby się mu te róże ze słowami: „Niech je pan złoży gdziekolwiek: w auli, w lectorium Kopernika lub Długosza, albo po prostu u janitora”, nie dopowiadając nawet, że są to kwiaty na groby pomordowanych i zmarłych w obozach, więzieniach i na wygnaniu kolegów — na zachodzie i na wschodzie.

To nas tylko może połączyć: chwila milczenia.

Biblioteka Polska
Kolo Zarych SPK

Cena 7 F (10 sh. 6 d.; dol. 1,50)